MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 9 WARSZAWA, 27 LUTEGO 1926 R. CENA NUMERU 80 gr.

REWIZJA POJĘĆ

REWIZJA Konstytucji powinna się rozpocząć od rewizji pojęć, na których się ona opiera. Pojęcia te ukształtowały się w XVIII wieku, przedewszystkiem pod przemożnym wpływem „Umowy Społecznej“ Rousseau. Zwierzchnictwo ludu i parlamentarny ustrój, jako woli wyraz ludu, stanowią podstawy konstrukcyj teoretycznych oficjalnej, że tak powiem, doktryny prawa publicznego. Przeciwko wszakże tej panującej doktrynie w jej ojczyźnie rozwija się opozycja wśród młodszych badaczów ustroju konstytucyjnego. Na szczególną uwagę zasługują poglądy tworzącej się szkoły, którąby nazwać można socjologiczną lub tradycjonalistyczną, z prof. z Taluzy M. Hauriou i prof. z Nancy, G. Renardem na czele. Na tle głoszonych przez nich poglądów pozwolę sobie na sformułowanie uwag niniejszych.

Istotną cechą państwa jest władza. Społeczeństwo musi mieć organizację, budowę hierarchiczną. Bez autorytetów nie może istnieć społeczeństwo. Siéyès w czasie rewolucji francuskiej powiedział: *„Le confiance vient d'en bas, le pouvoir vient d'en haut“*.

Wszelka instytucja, a więc i państwo, ma podstawę w idei, którą ma urzeczywistnić. Idea wypływa z danych świata zewnętrznego, z warunków objektywnych. Uświadamia ją sobie jednostka lub grupa jednostek i wciela w życie. Idea państwa istnieje objektywnie, załamuje się jeno subjektywnie w duszach jednostek. Nie jest to świadomość zbiorowa w tem znaczeniu, że chodzi o zjawisko psychologji społecznej, o równe w swej intensywności i jasności przeciętne zrozumienie i odczuwanie; w różny sposób odbija się idea państwa w duszach poszczególnych osób. Grupa kierownicza, która rozwija i realizuje ideę, organizuje państwo i reprezentuje je na zewnątrz. Zorganizowanie państwa jest sprawą tego, co Francuzi nazywają „techniką prawną“.

W państwie współczesnem ta organizacja polega na określeniu kompetencji poszczególnych organów. Ich władza nie jest prostą mocą, lecz mocą prawną. Podział władz zapewnia przewagę ustalonych kompetencyj nad dążeniem do bezwzględnego panowania organów władzy, zabezpiecza równowagę wewnętrzną. Zadaniem władzy państwowej jest zapewnienie porządku, który umożliwia wolność jednostek. Pogodzenie wolności jednostek z władzą, rozporządzającą przymusem,—te dwa pojęcia: wolności i władzy w swojem bezwzględnem znaczeniu są przeciwstawne — wtedy da się uskutecznić, jeżeli traktować je będziemy, jako względne. Władza działa w sposób prawny, jeżeli urzeczywistnia cele, które jej zakreślono; wolność nie jest samowolą, jest również ograniczona celem, wolność np. polityczna ideą, której ma służyć.

Naczelnym, kierowniczym czynnikiem jest w państwie objektywna idea dzieła, które ma być zrealizowane. Subjektywna wola rządzących i rządzonych winna być jej podporządkowana. Rządzący czerpią źródło swej władzy z funkcyj, które spełniają na mocy prawa, z realizowania idei naczelnej, przedewszystkiem porządku społecznego, który polega na pogodzeniu wolności jednostek z zadaniami rozwoju całości narodowej. Pochodzenie ich władzy — czy to z tytułu urodzenia, stanowiska społecznego lub wyborów—nie może uzasadniać moralnie faktu, że mogą rozkazywać i zmuszać innych do posłuszeństwa, nie może usprawiedliwić tego przywileju.

Popularna doktryna utrzymuje, że rządzący mają mandat z rąk społeczeństwa, że wyrażają wolę ludu. Suwerenna władza narodu przekazywana jest jakoby jego przedstawicielom. Parlament uprawnienia swe wywodzi z woli ciała wyborczego, władza wykonawcza z woli parlamentu. Te twierdzenia bodaj oparte są na fikcji bądź są sprzeczne z rzeczywistością.

Ciała wyborcze mają być pośrednikami w tem przekazywaniu władzy ludowej; według doktryny oficjalnej zawsze wolę narodu reprezentują, choćby koło wyborców było ograniczone do mniejszości ludności. W jaki sposób przypadkowa większość głosujących, której wola może decydować nawet o losie przyszłych pokoleń, otrzymała

mandat od narodu, nie umiano nigdy wyjaśnić. Cała zresztą hierarchja ustroju parlamentarnego nie wytrzymuje obserwacji realnych faktów. Czyż naprawdę istnieje przewaga wyborców nad parlamentem? Przecież ciało obradujące i uchwalające obowiązujące dla ludności ustawy ma potęgę bez porównania większą, niż zdezorjentowani, mało uświadomieni wyborcy, raz na kilka lat wrzucający kartkę do urny. Przytem ci suwereni wykonywują swą chwilową władzę nie samodzielnie, lecz według wskazćwek kierujących nimi agitatorów, którzy z kolei są narzędziami bardzo niewielkiej ilości jednostek, kierujących życiem politycznem w państwie.

Tak samo przewaga organów ustawodawczych nad władzami wykonawczemi jest sprzeczna z istotą rzeczy. Rola rządu jest najważniejsza. Pod względem historycznym jest to władza najstarsza. Może istnieć państwo bez władzy ustawodawczej, ale nie bez wykonawczej. Władza wykonawcza musi być czynna stale, bez przerwy. Ona ponosi odpowiedzialność za losy państwa, odpowiedzialność, która dopuszcza w sytuacjach wyjątkowych działanie pozaprawne. Ona jest tą władzą, która jest wyposażona w przywilej przymusowego wykonywania swych decyzyj. W chwilach przełomowych, np. wojny, władza ustawodawcza abdykuje ze swych uprawnień na rzecz rządu, upoważniając go do regulowania życia państwowego przy pomocy wydawanych rozporządzeń.

Wszechwładza parlamentu nie może być racjonalnie uzasadniona. Powołany na mocy ustaw organizacyjnych do normowania w myśl idei porządku i prawa i dla zaspokojenia potrzeb społeczeństwa jego wolności, winien parlament działać w ramach swych funkcyj. Władze ustawodawcze i wykonawcze są władzami politycznemi, działającemi w kierunku postępu, zmiany stosunków, prącemi naprzód. Dla równowagi wewnętrznej potrzebny jest czynnik hamujący, konserwatywny—władza sądowa, pilnująca w atmosferze spokoju zachowania szranek prawnych w działalności władz politycznych. A więc i szranek prawnych, stawianych przez Konstytucję, przy uchwalaniu ustaw.

Do czego się przeto sprowadza wola ludu? Państwo tworzy i rozwija zgodnie z uświadomioną jego ideą grupa rządząca. Stopniowo świadomość idei państwa rozszerza się na szersze sfery, które były dawniej tylko przedmiotem rządzenia, czując tylko podświadomie potrzebę istnienia organizacji, zapewniającej porządek publiczny, potrzebę władzy. Biernie ulegając zrazu władzy państwa, znosząc jej przymus, coraz bardziej świadomie solidaryzują się z ideą państwa, przyswajają ją sobie. Demokratyzacja ustroju politycznego polega na dojrzewaniu mas do życia aktywnego, do współudziału czynnego w wytwarzaniu organów państwowych. Wtedy następują przejawy poczucia wspólności z ideą państwową, czy to przez udział w wyborach, czy to przez poparcie akcji państwowej w chwilach krytycznych i t. p.

Opinja publiczna jest najtypowszym wyrazem „wszechwładzy ludu", wybory na członków ciał ustawodawczych nie są udzieleniem mandatu, nakazującego postępowanie zgodne z wolą ludu, lecz tylko wyrażeniem zaufania do dawnych jednostek. Na takim samym stosunku zaufania władzy ustawodawczej do rządu polega ustrój parlamentarny.

* * *

Z powyższych rozważań można wysunąć pewne wnioski praktyczne. Zasadą naczelną w ustroju państwowym winno być zapewnienie zrealizowania idei mocarstwa, zdolnego do utrzymania się w naszem położeniu geograficzno-politycznem i do rozwoju jak najintensywniejszego jego sił wewnętrznych. Urzeczywistnienie tego programu należy z natury rzeczy przedewszystkiem do rządu, jako czynnika kierowniczego i odpowiadającego za losy państwa. Rząd musi posiadać takie prerogatywy, któreby mu umożliwiły konsekwentne działanie. Dlatego winna być utrzymana równowaga między władzą ustawodawczą i rządem, nie pozwalająca na nieuprawnione wkraczanie czynników sejmowych w sferę funkcyj władzy wykonawczej. Rząd opiera się na zaufaniu Sejmu. Ale działalność rządu nie może ulegać przerwie. Dotychczasowy rząd może i powinien ustąpić, jeżeli upatrzony kierownik nowego rządu ma poparcie dostatecznie silnej większości, aby zapewnić trwałość jego istnienia. Ustępowanie na skutek uchwały Sejmu istniejącego rządu i zostawianie w ten sposób pustki na miejscu władzy, kierującej państwem, jest niedopuszczalne.

Rząd może się oprzeć nie tylko na zaufaniu Sejmu, lecz na zaufaniu opinji publicznej. Rząd silny, sprężysty, ma wszelkie szanse zdobycia tego zaufania ponad głowami członków izb ustawodawczych. Gdy Sejm mu zaufania odmawia, winien mieć możność odwołania się do wyborców w formie rozwiązania Sejmu przez Głowę państwa. Prezydent winien zarządzić nowe wybory, jeżeli w Sejmie nie może utworzyć się trwała większość, zdolna do zapewnienia poparcia rządowi.

Władza ustawodawcza ma obowiązek działania w ramach prawnych. Samowola daje moralne podstawy do przeciwstawiania się ludności, do oporu. Legalność postępowania Sejmu winna być kontrolowana przez władzę sądową, która rozstrzyga, czy zachodzi sprzeczność między uchwaloną przez Sejm ustawą, a Konstytucją, z której Sejm czerpie swoje uprawnienia.

Wybory są powołaniem ludności do udziału w wyłanianiu organów, rządzących państwem. Idea państwowa powinna tkwić w świadomości tych, którzy posiadają prawo głosowania. Niewątpliwie sam fakt rozciągnięcia na szerokie masy prawa wyborczego może zrodzić w nich poczucie wspólności z losami państwa. Ale pewien, choćby minimalny stopień dojrzałości społecznej winien być osiągnięty przed otrzymaniem prawa głosowania. Poziom kultury mas, ich zainteresowania sprawami publicznemi, nawet przy panowaniu zasady wyborów powszechnych i równych, winien być w ordynacji wyborczej uwzględniony. Jeżeli w Polsce w poziomie kultury ludności poszczególnych dzielnic spotykamy tak wielkie różnice, że można mówić o podziale paru wieków, to ten fakt należy wziąć w rachubę przy dawaniu ludności wpływu na losy państwa.

B. WASIUTYŃSKI

WZOROWE WYDANIE „KRÓLA-DUCHA"

SŁOWACKI, pisząc „Króla Ducha", uważał to dzieło za „alfę i omegę świata, a zatem i ojczyzny"; nie podzielając bynajmniej tego poglądu, przyznać jednak można, że „Król Duch" jest do pewnego stopnia alfą i omegą wierzeń samego poety w okresie mistycznym. To rzecz w każdym razie pewna, że olbrzymi ten poemat, pisany, poprawiany i przerabiany przezeń do ostatniej niemal chwili życia, a mimo to niedokończony, miał być koroną jego twórczości. Ta okoliczność, a jednocześnie może i same rozmiary poematu sprawiły, że najczęstszym bodaj przydomkiem Słowackiego jest „autor Króla-Ducha".

Przydomek ten, choć niewątpliwie miły byłby sercu wieszcza, nie przyniósł jednak dziełu samemu takiej poczytności, jakiej pragnął dla niego jego twórca. Nawet z pośród takich, którzy w szczerej intencji lub ze snobizmu porywali się na przestudjowanie wszystkich pieśni i urywków, wielu nużyło się lub czytało bezkrytycznie, ślepo, z udanym często entuzjazmem—takie zaś czytanie (zwłaszcza jednokrotne) nie prowadziło do zrozumienia, a rzadko nawet do odczucia prawdziwej wartości poematu. Przewidział to już niegdyś sam Słowacki, pisząc: „Trudu doznasz czytelniku, czytając niniejsze poema. Walkę będziesz musiał stoczyć z duchem poety. Jeśliś leniwy — dzieło odrzucisz". A leniwych było wielu...

Leniwymi okazywali się też często uczeni badacze i wydawcy. Rękopisy pośmiertne „Króla-Ducha" przez dwadzieścia lat bezmała leżały w zapomnieniu, póki w r. 1865 na pierwsze ich wydanie nie odważył się Małecki. Nie było to wydanie całkowite; na końcu tomu III „Pism pośmiertnych" wydawca dodał uwagę: „T r z y r a z y w i ę c e j, niżli tu się ogłosiło, pozostaje w rękopisie". Powodem tego ograniczenia się do zasadniczych wątków poszczególnych rapsodów oraz do wyboru piękniejszych warjantów były, zdaniem Małeckiego, względy typograficzno-księgarskie; jednakowoż pewną rolę odegrała tu prawdopodobnie i niechęć do utworów Słowackiego z okresu mistycyzmu. Niechęć ta krzewiła się długo za patronatu St. Tarnowskiego, znajdując nieraz dosadne wyrazy, jak np. w owem powiedzeniu Biegeleisena, że „Król-Duch, to karton obłędu genjusza". Gdy wśród następnego pokolenia rozbudził się silniejszy kult Słowackiego, pojawił się w jubileuszowem wydaniu (1909), dokonanem przez Gubrynowicza i Hahna, tekst „Króla-Ducha" na one czasy zupełny, choć nie pozbawiony wielu usterek. Ani jedno, ani drugie z tych wydań (nie mówiąc o innych, które były poprostu ich kopjami) nie dało sobie rady z uporządkowaniem bezładnie rozrzuconych rękopisów, wśród których jedne i te same wątki występują w licznych nieraz odmianach.

Pracy tej podjął się i dokonał dopiero ostatniemi czasy niepospolity znawca pism mistycznych Słowackiego, prof. Jan Gwalbert Pawlikowski *). Stwierdziwszy, że zarówno wydawcom, jak i krytykom „Króla-Ducha" brak było przygotowania, niezbędnego do zrozumienia tego niezwykłego poematu, wziął się do gruntownych nad nim studjów, których owocem były dwie fundamentalne rozprawy: „Mistyka Słowackiego" i „O Królu-Duchu", stanowiące punkt wyjścia dla wszelkich badań w tym zakresie. Kilkanaście lat następnych, poświęconych w dalszym ciągu tym badaniom, dały prof. Pawlikowskiemu jedyne niejako i wyłączne prawo, by stać się wydawcą i komentatorem całego „Króla-Ducha".

Wydanie bowiem obecne składa się z 2-ch części: tekstu i komentarzy. W części pierwszej współpracował z ojcem wytrwale Michał Pawlikowski, ustalając brzmienie tekstów i zaznaczając skrupulatnie każde przekreślenie, każdy wyraz nieczytelny, każdą marginesową uwagę poety. Teksty podano w pisowni oryginalnej Słowackiego (poprawiono tylko nieco omyłek) — niesłusznie jednak nazwał ją J. Gw. Pawlikowski „pisownią Kopczyńskiego"; ta bowiem nie miała jeszcze litery „j", którą wprowadził dopiero A. Feliński. Tu i ówdzie poprawiono parę (jakby powiedział Słowacki) „niegramatyczności", nie naruszając jednak rytmu i rymu. Nie powtórzono samowoli dawniejszych wydawców, którzy poszczególnym rapsodom, a nawet ich cząstkom, nadawali nieraz wymyślone przez siebie tytuły. Natomiast wzgląd na tradycję skłonił Pawlikowskiego do przyjęcia numeracji rapsodów, narzuconej przez Małeckiego, a zupełnie kłócącej się z wolą poety. Słowacki bowiem podzielił opracowany zrąb „Króla-Ducha" tylko na trzy rapsody, odpowiadające trzem żywotom królewskim ducha poety (Popiel, Mieczysław I, Bolesław Śmiały); Małecki zaś rapsod II rozbił na trzy oddzielne rapsody (II, III i IV). W ten sposób straciły zupełnie sens słowa poety, że rapsod II „wlókł się, jak wół, ciężko i poważnie", gdyż to, co jest u Małeckiego (i późniejszych) rzekomo całym rapsodem II-gim, stanowi w istocie bardzo krótki i wcale nie „pracowity" — owszem bardzo potoczysty — urywek.

Poza tem jedynem odstępstwem, czysto zresztą formalnem, układ „Króla Ducha", dokonany przez prof. Pawlikowskiego, odznacza się niezachwianą konsekwencją, co wprowadza ład w treści poematu, a tem samem jej zrozumienie. Dowiódł Pawlikowski, że budowa „Króla-Ducha" jest niezmiernie symetryczna: przed każdem ze wspomnianych trzech wcieleń Króla-Ducha znajduje się faza pobytu Króla-Ducha w zaświatach; na podstawie tej tezy główny wątek rapsodu o Bolesławie Śmiałym otrzymał w wydaniu obecnem zupełnie inne znaczenie, niż w wydaniach dotychczasowych, albowiem rozpoczyna się od pobytu ducha zmarłego Mieczysława w otchłani, a nie od koronacji Bolesława Śmiałego. Doniosłą też sprawą jest ustalenie tekstu głównego, a następnie racjonalne uszeregowanie odmian. Nie godząc się z tymi, co ufając ślepo kolejności rękopisów radziby ten przypadkowy i mechaniczny porządek (raczej nieporządek) zachować i w książce Pawlikowski łączy w jedną całość teksty najlepiej przez poetę opracowane, najlepej odpowiadające jego zamierzeniom i najściślej łączące się w logiczną całość — tak powstaje jednolita więźba, zwana tekstem głównym. Jednolitość tę osiągnięto i w odmianach, zamieszczonych dopiero po tekście głównym, a ułożonych według kolejności samych rapsodów; w osobne grupy powiązano fragmenty, w których poeta oddaje głos jakiemuś „śpiewakowi", bądź opracowuje tematy nie mające związku z żadnym z rapsodów (np. próby związania „Króla-Ducha" z „Beniowskim"), czy wreszcie wprowadza intermedja djalogowe (np. sceny „Dziadów"). W ten sposób uwydatniają się skupione razem różne pomysły, mniej lub więcej odbiegające od zasadniczego wątku, jednakowoż ważne do zrozumienia i genezy i podstawowych idej poematu; słusznie bowiem mówi Pawlikowski: „Właściwego charakteru „Króla-Ducha" nie można poznać bez jego odmian".

Z tych odmian zasługują na uwagę zwłaszcza dwie większe, w których treści znajdujemy najradykalniejsze odstępstwa od przewodniego pomysłu „Króla-Ducha"

*) Juljusz Słowacki, Król-Duch, wydanie zupełne komentowane, ułożył i komentarzem opatrzył Jan Gw. Pawlikowski; brzmienie tekstów z rękopisów ustalił Michał Pawlikowski. — Lwów. Nakł. H. Altenberga. Marzec 1924—Maj 1925. (I Tom: Tekst, II T.: Komentarz).

W pierwszej z nich drugiem wcieleniem (po Popielu a przed Mieczysławem) jest Wodan; nawiasem wspomnę, że imię to, niesłusznie kojarzone niekiedy z germańskim Wotanem, prof. Pawlikowski wyprowadza od wody, której żywioł jest kontrastem imienia i osoby Ziemowita. W drugiej ze wspomnianych odmian zmienia poeta rolę Mieczysława, opowiadając o jego stosunku z kapłanką Odą. Stosunek ten przedstawia się we fragmentach bardzo niejasno, to też nieraz jest wydawca w kłopocie, jak go komentować. Sądzę, że wolno mi na tem miejscu powtórzyć spostrzeżenie, (które wypowiedziałem przed dwoma laty), że postać tej poganki i jej imię wziął Słowacki z powieści brata-towiańczyka, Seweryna Goszczyńskiego, zatytułowanej „Oda, powieść z czasów Bolesława Chrobrego" (1842). Wszak sam Słowacki w jednym z fragmentów „Króla-Ducha" wspomina o wpływie, jaki na niego wywarł „Seweryn". W tymże fragmencie jest mowa o „Bohdanie"—nieco dziwna wobec tego, że Zaleskiego Słowacki nie lubił przez całe życie, a przytem Zaleski nie pisał wcale o biciu podwodnych słupów w Dnieprze i o związanej z tem pieśni rusałek; natomiast pisał o tem drugi towiańczyk, Lucjan Siemieński, w poemacie „Trąby w Dnieprze", z którego (jak o tem również swojego czasu wspomniałem) kilka pomysłów przedostało się do rapsodu o Bolesławie Śmiałym.

Co do układu odmian w wydaniu Pawlikowskiego jedno tylko podałbym sprostowanie: mianowicie odmiany 272 i 273, opowiadające o Mieszku Gnuśnym i Kazimierzu Odnowicielu, a rzekomo „niemające odpowiednika w tekście głównym," zaliczyłbym do pieśni rapsodu Bolesławowego; w tej bowiem pieśni są wzmianki przynajmniej o drugim z tych władców, ojcu Bolka Śmiałego. Jest on tam (odm. 193) tak określony:

W takich snach moich pamiętam anioła,
Że błysnął i znów objął panowanie...
Król w stali... (Odnowiciel)

Dwukrotnie zaś przytoczona jest pieśń „Witaj nam, witaj, miły hospodynie" — którą lud witał powracającego Odnowiciela; pozatem wizja „królewskiej dzieciny na tarczy złotej", opowiedziana przez Króla - Ducha, bawiącego w zaświatach (Rapsod V. p. I. str. 38) nie może się odnosić do Bolesława Śmiałego, który przecież sam był—wcieleniem Króla-Ducha, czyli osobą opowiadającą.

Do lepszego zapamiętania i ogarnięcia treści, tak mimo wszystko skomplikowanej, przyczyniają się wybornie streszczenia i rekapitulacje poszczególnych rapsodów, zamieszczone w komentarzu. Ważne i bardzo pouczające jest w nich związanie „Króla-Ducha" z życiem samego poety, boć Słowacki, mówiąc w pierwszym zaraz wierszu „Cierpienia moje i męki serdeczne" nie popełniał zwykłego frazesu literackiego, jakim jest często opowiadanie w pierwszej osobie np. w powieściach. Słusznie więc zaznacza Pawlikowski, że żywot Popiela odpowiada pierwszemu, bajronicznemu okresowi twórczości poety — aż do „Beniowskiego"; natomiast żywot Mieczysława odpowiada okresowi następnemu, objawień mistycznych. Szkoda, że komentator nie poszedł dalej i nie objaśnił analogicznie żywotu Bolesława Śmiałego, który (mojem zdaniem) stanowi obraz życia poety po zerwaniu z Kołem Towiańczyków; w tej paraleli znajdujemy wyjaśnienie owej przysięgi, wymuszonej na Bolesławie przez matkę-Rusinkę, następnie walki z Rusią (stosunek Słowackiego a Towiańczyków do Rosji), wreszcie ze Św. Stanisławem, choć w nim niekoniecznie trzeba widzieć uosobienie ducha Mickiewicza, jak to czynił np. Mazanowski. Nadmienię przytem, że „węgierską królową", która poszła w ślady Świętochny, nie jest zapewne ani Kinga, ani Jadwiga, te bowiem, choć Węgierki, były królowemi polskiemi; natomiast królową węgierską była patronka matki Słowackiego, Św. Salomea, o której pustelni pod Krakowem wspomina poeta w swych listach. Wiadomo, że imię jej gra wielką rolę już w dawniejszych utworach Słowackiego („Horsztyński," „Sen srebrny," „Zborowski"), ponadto rola Świętochny w „Królu-Duchu" przypomina potrosze dolę p. Salomei Bécu.

Bardzo słusznie natomiast pisze Pawlikowski o Jadwidze w innem miejscu, podkreślając, że w dalszych częściach „Króla-Ducha" zamierzał Słowacki przyznać jej rolę, podobną do roli Dobrawny, wobec czego Jagiełło zapewne miał być jednem z późniejszych wcieleń królewskich. Rozwijając myśl Kleinera, dowodzi następnie prof. Pawlikowski, że w łańcuchu wcieleń jednem z ogniw miał być i żywot ks. Michała Twerskiego — kto wie, czy do szeregu dowodów nie należałoby dodać i postaci Nowogrodzianina Wadima, który jest jakby zapowiedzią tamtej postaci? Do wcieleń późniejszych miał należeć niewątpliwie i Samuel Zborowski; wizji jego dopatruje się prof. Pawlikowski w odm. 120-ej, gdzie Mieczysławowi-Dawidowi jawi się duch „Samuelowi podobny". Zdaje się jednak, iż jest tu mowa raczej o proroku Samuelu, który młodego Dawida (jak mówi Pismo św.) maścił na króla, a następnie po śmierci (stąd „podziemny"), wywołany przez czarownicę ukazał się Saulowi „cały w płomieniach". Postać tego proroka nieraz zajmowała Słowackiego, że wspomnę tylko wiersz „Góry się ozłociły"...

Naogół Pismo Św. bardzo silnie oddziaływało na pomysły „Króla-Ducha", to też wydawca często odwołuje się do tego źródła, zwłaszcza do Apokalipsy. Stąd to pochodzi, tak ważny, a wciąż powracający u Słowackiego, motyw „Jerozolimy słonecznej", która miała być najwyższą ideą świata. Idea najwyższa wyraża się też często w apokaliptycznym symbolu Niewiasty, stojącej na sierpie księżycowym, którą Kościół stosuje do Matki Boskiej, Słowacki zaś odnosił do — przyszłej Polski. Pomysł ten zawdzięczał Słowacki niewątpliwie Krasińskiemu („Przedświt"), od którego nawet wziął w I rapsodzie wykrzyknienie: „To Królowa"!—warto zaznaczyć, że wizji Polski-Bogarodzicy użył też w polemice z Krasińskim, w wierszu „Do autora 3-ch psalmów". Z tą Niewiastą utożsamić należy zagadkową „Matkę-Miesięcznicę", uwzględniając jednak (jak to słusznie czyni Pawlikowski) rolę pierwiastka księżycowego, będącego często „hypostazą wody".

Gdzie chodzi o mistycyzm Słowackiego, Pawlikowski daje nieocenione wprost komentarze; dla krótkości wykładu często odsyła jednak tylko czytelnika do wspomnianych powyżej rozpraw własnych. Pogłębiając spostrzeżenia Małeckiego, a poczęści W. Lutosławskiego i Sinki, rozważa stosunek „Króla-Ducha" do dzieł Platona. Za wielką może tylko przypisuje rolę Herowi-Armeńczykowi, za którego sprawą zawierać się ma w poemacie tyle zwrotów, przenośni i porównań—z mitologji greckiej. Sądzę, że raczejby to należało przypisać Homerowi, pod którego urokiem zostawał wówczas poeta, nazywając go „rewelatorem" i tłumacząc jego „Iljadę"; dlatego to tak wielką rolę w pieśni I raps. V odgrywają „Homerejczycy".

Gruntownie objaśnił wydawca mitologję słowiańską, tak częstą zwłaszcza w początkowych rapsodach. Miałbym tylko zastrzeżenie co do Siwanny, którą Pawlikowski utożsamia z Dziewanną; Słowacki przecież daje wymyślonej przez siebie bogini zgoła inne atrybucje. Mojem zdaniem, jest to prawdopodobnie rodzaj żeński od bożka Siwa, który występuje nieco dalej. (Rapsod IV, p. II s. 57). Słusznie wyraża Pawlikowski powątpiewanie co do rzekomej bożki „Kwiatyny", którą Małecki napisał dużą literą; prawdopodobnie są to tylko kwiatyny — kwietniki.

Nie poprzestając na własnym komentarzu, wydawca raz po raz odsyła czytelników do tych olbrzymich komentarzy, jakie pozostawił po sobie sam poeta; są to przedewszystkiem: „Rozmowy z Heljonem i Helois" i „List do Rembowskiego" oraz raptularze. Pawlikowski zapowiada, że wkrótce wyda te dzieła Słowackiego, które dotychczasowi wydawcy (nie mówiąc już o krytykach) traktowali bardzo samowolnie (bardziej samowolnie, niż „Króla-Ducha"). Będzie to niewątpliwie wydanie, wspaniałością i sumiennością dorównywające wydaniu „Króla-Ducha". Znajdą się tam (prócz innych) i dwa poematy, mające ścisły związek, że się tak wyrażę, historyczny z „Królem-Duchem"; jest to „Genesis z Ducha" oraz szczątki wielkiej opowieści, którą większość wydawców ochrzciła „Teogonją". Zrealizowania tego planu oczekiwać należy z tem większą niecierpliwością, że „Król-Duch" nie jest w istocie poematem w sobie zamkniętym; jest to tylko dalszy ciąg poematu, który miał objąć całość dziejów genezyzyjskich świata, ilustrowanych metempsychozą samego poety. Wszak tenże poeta jest opowiadaczem w obu tamtych poematach, z których pierwszy przedstawia wędrówkę ducha w szeregu coraz to wyższych stworzeń aż do pojawienia się człowieka, drugi zaś — takąż wędrówkę w szeregu coraz to doskonalszych narodów, aż do wystąpienia Polski na widownię dziejową (nb. por. aluzje do Polski — w „Agezylauszu"!); tu dopiero rozpoczyna się „Król-Duch", który wobec tamtych poematów spełnia taką rolę, jaką w Piśmie Św. spełniają „Księgi Królów" w stosunku do „Genesis", „Exodus" i „Księgi Sędziów".

Pisząc o tak doniosłem zdarzeniu literackiem, jakiem jest „Król-Duch", wydany przez Jana Gw. Pawlikowskiego, nie mogłem poprzestawać na ogólnikowej chwalbie, jak to uczyniło wielu poprzednich recencentów; wyrządziłbym w ten sposób tylko krzywdę i twórcy „Króla-Ducha" i jego świetnemu wydawcy, bagatelizując jego wielką i gruntowną pracę. Studjując od lat kilkunastu „Króla-Ducha", zżyłem się z jego treścią, a studja Pawlikowskiego były mi w mych własnych badaniach wzorem i drogowskazem; tych parę uwag i sprostowań, jakie dorzuciłem do wniosków i tez Pawlikowskiego, wynikło tylko z gruntownego wczytania się w jego pracę, której niepożyte zasługi umiem całkowicie ocenić. Bo jeżeli dla kogo wydał Pawlikowski „Króla-Ducha", to przedewszystkiem dla tych, którzy to ogromne dzieło chcą czytać — i czytają—sumiennie i niejednokrotnie.

JÓZEF BIRKENMAJER

...„OD ZIEMI I OD JEJ DUCHA"...

(W PIĘĆDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO)

„PUŚCIŁ się obyczajem żebrzących śpiewaków swojej krainy, z lirą swojego ducha, z nią tylko, do niej nastroił swój rozum, swoje zmysły, wszystkie swoje władze — i to tylko zachował, czem mu ten instrument zagrał, potrącony od ziemi, którą przeszedł i od jej ducha". Tak mówił o sobie działacz i poeta, którego 50 rocznicę śmierci właśnie obchodzimy.

Są ludzie, żyjący duchem „w świecie wieczystych głusz, gdzie gniazda bogów i dusz", w świecie wizyj i marzeń, dalekich od ziemi rodzinnej—i od ziemi wogóle. Orły to rzekomo, wysokiego a nieskrępowanego lotu. Swobodni i wielcy podobno wypatrywacze czasów, co idą. Lecz któż się przekona, ile jest złudzenia w owej wolności—i ile egoizmu w dążeniu?

I są ludzie, którzy z ziemi wyrośli ku niebu, żyją wśród ludzi i dla nich siły swoje hartują w związku z rodzinną ziemią bogatym i szczerym, radosnym i twórczym.

A choć zamknięta jest i oczom ciekawym niedostępna tajemnica ludzkiego działania, to przecież szukamy wciąż zrozumienia i rozwiązania cudownej zagadki. Czy wśród motywów działania i wśród pobudek poetyckiego tworzenia — nie gra roli doniosłej właśnie związek z ziemią, czy nie kieruje niemi i nie wzmacnia ich — oto pytanie, na które bliższa analiza czynów i prac Goszczyńskiego rzucić by mogła wiele jasnego światła.

Nie tu oczywiście miejsce na nią, ale można tu postawić przynajmniej samo zagadnienie.

Czemże tedy ów związek z ziemią rodzinną jest w swej istocie? Zrazu są to tylko więzy biologiczne, które wiążą człowieka z ziemią, na której żyje. Lecz rychło zmieniają się one na więzy psychiczne, a pierwotny przyrodniczy przedmiot tego związku: „ziemia" nabiera duchowej i historycznej treści, staje się przedmiotem świata kultury, a więc wciąż rosnącym i bogatszym. Pierwotnie najważniejszy element: ziemia w sensie przyrodniczego terytorjum, usuwa się w cień — ale mimo to wzrasta siła związku — stającego się coraz wyraźniej zależnością psychiczną i historyczną. Dlatego zurbanizowanie kultury nie zawsze niszczy związek z rodzinną ziemią, bo jest ona rzeczywistością duchową. Człowiek wrasta powoli w bogactwo, nagromadzone przez życie i trud pokoleń. Wiąże się wówczas z „ziemią rodzinną" tem silniej, im więcej duchem własnym objąć i przyswoić zdoła jej psychicznej zawartości. A im większe bogactwo nagromadzi—tem lepszym będzie człowiekiem, tem serdeczniej też będzie ją kochał, a przez to tem żywsze pragnienie działania płonąć w nim będzie.

Jakże wyglądał ów przedmiot: „ziemia rodzinna" w pojmowaniu Goszczyńskiego? Jakie elementy zawierał, do jakich działań pobudzał i zmuszał?

Być może żaden z naszych poetów nie był w dzieciństwie już związany tak ściśle, tak biologicznie z ziemią, jak właśnie Goszczyński. Urodzony na Ukrainie, wychowywał się dosłownie na łonie przyrody i ludu; rodzice zajmowali się nim mało, warunki życiowe były niezmiernie trudne. Na tułaczce po ziemi ukraińskiej zeszły mu młode lata. Ale nietylko one, aż po rok 1830 niemal bez większych przerw pędzi koczowniczy żywot. Kryje się przed bacznem okiem rosyjskiej policji — w ukraińskich jarach i stepach; — krótkim jeno epizodem był pobyt w Warszawie podczas powstania listopadowego. Już w r. 1832 rozpoczęła się nowa długa tułaczka, tym razem po Galicji. Przewędrował ją całą; zwiedził Tatry i Podhale, poznał ziemię lwowską. Domu rodzinnego nie miał, był „jak pielgrzym co się w drodze trudzi przy blaskach gromu", dziś tu, jutro gdzieindziej, niepewny dnia ani spokoju na własnej ziemi. Ale była mu ona mimo to dobrą i poczciwą opieką—bezpieczną ochroną.

I oto gdy romantycy nasi przeważnie bywali już „okuci w powiciu" — od przyrodniczego związku z ziemią od maleńkości już oderwani (Słowacki, Krasiński), a później szli na emigrację, za ziemią ojczystą tęskniąc—Goszczyński od dziecka żył wśród jej oddechu, na ziemi swej przebywał aż po r. 1838, gdy na rozkaz rządu austrjackiego, opuścić musiał ojczyznę.

Ale to fizyczne Goszczyńskiego zbliżenie z ziemią ojczystą, ten biologiczny z nią związek, był jeno podstawą, na

której wzrastał i budował się związek inny, głębszy i bogatszy, duchowy. Jednym z pierwszych jego elementów było zamiłowanie przyrody i uczuciowy stosunek do niej. Już jako dziecko lubił nocne wędrówki na cmentarz i cichą zadumę wśród jego drzew, wycieczki nad Bohem i Rosią, ossjanowe rozmyślania na szczytach skał nadbrzeżnych, spacery poranne w cudownej Zofiówce; — „ileż to wieczorów—opowiada—przesiedziałem na śniegu, pod zasłoną pnia dębowego, rozpływając się nad błękitem nocnego nieba, nad blaskiem gwiazd lub księżyca, słuchając wiatrów muzyki różnotonnej według tego, jak grała na gałęziach, na zwiędłych liściach lud na mchu odwiecznym". Ten związek z przyrodą, wyrażany w „Nocy w Zofiówce" w „Ostatniej przechadzce", wzbogaca się rychło elementami etycznemi, narodowemi i religijnemi. W Goszczyńskim wyrabia się przekonanie, iż temu tylko serce przyrody otwarte, kto ma własne czyste, że ten tylko pojmie i temu tylko odpowie dusza świata, kto własną na wysoki ton nastroi, że ten tylko odnajdzie ciszę i ukojenie w przyrodzie, kto z sobą walczy dzielnie i idzie silnie, zwątpienie zwalcza i łzy hamuje. („Do mojej wierzby"). W jaki zaś sposób dołączają się również i elementy narodowe, poucza „Pobudka", będąca obrazem pomocy, jakiej udziela przyroda polska—Polakom w wojnie wspólnym wrogiem: moskalem.

Również z tego związku z przyrodą wyrasta swoista a silna religijność. Autor rzekomo bezbożnej „Modlitwy wolnego" widzi i odczuwa Boga „w światów gorejących kołach" i w „ruchu mrówki błądzącej" — raduje się głosem Jego we własnem sercu; ten wzrost religijności, płynący z uczuciowego, niemal kontemplatywnego związku z przyrodą, widać najwyraźniej podczas podróży Goszczyńskiego w Tatry: tam każdy cud potężnego piękna gór polskich, porywał duszę wzwyż — ku Bogu, wówczas to żył Goszczyński w dobrym, prostoty pełnym i ciszy, ale i twórczym, mocnym świecie — religijnych wierzeń. Tam się przekuwała w obliczu Boga dusza rewolucjonisty-spiskowca—w duszę człowieka-brata.

Ale związek z przyrodą i wszystko to, co za sobą pociągał, było tylko jednym fragmentem tego bogatego, duchowego związku z ziemią rodzinną, który z fizycznej z nią blizkości wykwitał. Drugim potężnym elementem było umiłowanie ludu. Stykanie się z nim ciągłe—w ciągłych tułaczkach—rozbudziło w Goszczyńskim miłość ku niemu. Już w dzieciństwie pod wpływem „zakochania się" zbiera pieśni ludowe, gromadzi wierzenia i podania, na ich tle probuje pisać „Dąbrowy Śmilańskie" — wprowadza je w „Zamek Kaniowski". Później, podczas wędrówek pod Podhalu i Tatrach, z nabożnem uwielbieniem słucha ludowych podań i legend, widząc w nich jądra prawd żywotnych i wiecznych, objawionych przez Boga, zachowanych w ludzie, a zapomnianych przez świat wyższej kultury. Dusza ludu staje się przedmiotem najżywszego jego ukochania; — rozumiemy, czem wiąże z sobą Goszczyńskiego: tem, iż związana jest z Bogiem i przyrodą, tak, jak on właśnie.

A zarazem miłowanie ludu nietylko wiąże się z religijną i metafizyczną tęsknotą: ono również wiedzie i w walkę życia. Bo oto lud—to nietylko strażnik, przechowujący ogień bożych prawd; to „człowiek cierpiący", któremu krzywda się dzieje i niesprawiedliwość i tę trzeba naprawić.

I tak dochodzimy do nowego elementu wzbogacającego duchowy związek Goszczyńskiego z ziemią: jest nim działanie. W jego ogniu spalała się dusza Goszczyńskiego, jemu służył od lat szkolnych. „Wolność i rzeczpospolita", to było hasło, które kazało mu rzucić szkołę i ruszyć ku „ognisku życia polskiego" do Warszawy — pobudziło do tworzenia spisków na Ukrainie przed r. 1830, wiodło w walkę z wrogiem w r. 1830 — 31. Niegasnąca żądza działania na ziemi polskiej i dla niej kazała mu pozostawać w kraju, po upadku powstania—i podejmować ogromne wysiłki i prace wokół rozbudzenia narodowego ducha w Galicji. W przeciwstawieniu z zagranicy przychodzącym prądom, głoszącym rewolucję socjalną, Goszczyński wyraźnie akcentuje pierwiastki rodzime, a jako cel najbliższy wysuwa pracę oświatową, budzenie ducha narodowego w szlachcie i ludzie. Jednocześnie uwydatnia silny związek z przeszłością, stara się budzić cześć dla niej i jej umiłowanie. Tym duchem zapala innych, niestrudzenie pracuje wokół spisków, jednoczy je, łączy w jeden, prowadzi skutecznie i wytrwale.

A ta służba rodzinnej ziemi nietylko w działalności społecznej jest wypełniona — ale i w poetyckiej. Poezja według Goszczyńskiego — a doszedł do tego mniemania już przed r. 1830 — to wyraz głosu bożego w ludzkiej duszy. Słowo genjusza nietylko wiedzie ku niebu, ale i ziemię w niebo przemienia: na to właśnie „w bytu zawierusze Bóg ich zsyła — by walczyli z nocą i spodleniem". I zgodnie z tem przekonaniem rydwan poezji swej kieruje Goszczyński drogami, wiodącemu ku celom narodowej służby. „Zamek Kaniowski"— dla braci jest przestrogą, „Pobudka"—otuchą; „Proroctwa ks. Marka"—mocną wróżbą; dla nich męczy się „Król Zamczyska".

Jak wielkie było natężenie żądzy działania w duszy Goszczyńskiego, może o tem świadczyć konflikt, który często u niego widzimy, konflikt między słowami i czynem, płynący z pragnienia, aby dać z siebie jaknajwięcej. Gdy warunki na czyn nie pozwalały, z uśpienia budziło się słowo i szło gromkie między ludzi: tak było podczas tułaczki na Ukrainie, („Zamek Kaniowski"), tak po upadku powstania, a przed podjęciem prac spiskowych w Galicji, („Pieśni Ossjana", poematy tatrzańskie), tak po opuszczeniu rodzinnej ziemi i udaniu się na emigrację („Anna", „Król Zamczyska"). Gdy jednak tylko można było i działalnością służyć narodowi, ginęły pieśni — wstawały czyny.

Cóż dziwnego, że dusza związana z ziemią rodzinną węzłami tak rozlicznemi, spalająca się w pracy dla niej— wydawać będzie, jeśli o poezję chodzi, twory oryginalne? Trudno, by miało być inaczej i w działalności społecznej: akcetowanie rodzimości i narodowości musi być i tu wyraźne. Tak też i było. A jednocześnie czyż nie jest to naturalne i zrozumiałe, iż nie mogąc, na emigracji, dalej służyć narodowi czynem, a żądny jakowejś służby, odda się służbie wewnętrznej ofiary z tem większem wytężeniem, iż religijność zdawna nie była duszy tej obca?

Ale i to nie zadziwi, że oderwana od ziemi rodzinnej—zwiędnie i moc niezwalczoną dawniej utraci. Bo nietylko się zerwie fizyczny związek z ziemią: atmosfera emigracyjna i towianizm podkopią także i duchowy. Stąd spokój, jaki w towianizmie zyskiwał, musiał być tragicznym spokojem—tak, jak dla Mickiewicza.

Bo takim samym wzrostem i twórczem odradzaniem było życie Goszczyńskiego — stawało się bogatsze i silniejsze, głębsze i bardziej zrównoważone w miarę, jak rozszerzała się sfera rozumienia i odczuwania „ziemi rodzinnej"—w jego duszy. Rósł, tężał sokami i treścią tej ziemi—nie brał skądinąd. Jej też i tylko jej, dawać siebie pragnął. I dawał w trudzie i czynach narodowych — w oryginalnej a rodzimej poezji.

BOGDAN SUCHODOLSKI

Z DZIEJÓW UKRAINIZMU S. GOSZCZYŃSKIEGO

PRZYCZYNKAMI, które niżej podaję, pragnąłbym dopomóc do wypełnienia pustki, która panuje w biografjach Seweryna Goszczyńskiego w tem miejscu, gdzie należałoby cokolwiek powiedzieć o tem, co się działo w duszy poety na starość z jego wspomnieniami ukraińskiemi. Urósł w legendzie literackiej, jako poeta „ukraiński". A jednak ukraińska jego część życia sięga zaledwie lat młodzieńczych. Była potem inna bliższa ojczyzna — Galicja z Tatrami, a potem jeszcze inna: emigracja paryska ze Służbą Bożą. Trzy różne fizjognomje, ale przecież istniała ciągłość życia wewnętrznego, karmiona wspomnieniami.

Jakże daleki w takim r. 1857 był Goszczyński od gniazda rodzinnego, gdy wogóle Ziemi się wyrzekł! Z tego roku, tak ciężkiego moralnie dla poety, mam do ogłoszenia autograf listu do młodszego brata, mieszkającego gdzieś „na Ukrainie". List ten brzmi:

20 Marca 1857

Mój drogi Władysławie! Dziękuję Bogu, że mam sposobność przesłać Ci te słów kilka od serca, które jest zawsze z Wami. Z prawdziwą radością przyjąłem wiadomość o Tobie, będzie ona większa, kiedy wprost od Ciebie otrzymam słowo i o Tobie i o całej naszej rodzinie. Ubolewałem nieraz nad niepodobieństwem prawie porozumienia się z Wami. Trudności silniejsze od moich najlepszych chęci były jedyną przyczyną, że dziś dopiero mogą uczynić zadość wielkiej potrzebie mojej duszy. Podróż moja trwa dłużej, niż się mogliśmy spodziewać i nie wiem, kiedy się skończy. Sprawisz mi prawdziwą pociechę, dając wiadomość o sobie i o wszystkich a wszystkich członkach naszej rodziny; dotąd byłem bez żadnej prawie. Wtedy będę mógł i ja z mojej strony obszerniej o sobie napisać, nateraz muszę ograniczyć się niewielą słowami. Jestem zdrów i mocny jeszcze, dzięki Bogu; powodziło mi się rozmaicie; w tej chwili skarżyć się z tej strony nie mogę. Zresztą łaskawy oddawca niniejszej kartki opowie Ci o mnie wszystko, coby Cię interesować mogło. On także zechce i będzie w stanie, spodziewam się, ułatwić Wam sposoby porozumienia się ze mną.

Może być, że już nie wszyscy żyjecie. Z żywymi podziel się najserdeczniejszem, najczulszem pozdrowieniem, które Wam brat Wasz przesyła, zaczem kiedyś może uściśnie Was osobiście, o co Boga proszę, jeśli taka Jego wola Twój brat *Seweryn*

Nie pamiętam, skąd ten list do rąk moich trafił — być może dał mi go ś. p. Adam Krechowiecki. Pisany na cieniutkim papierze listowym, zajmuje jedną z czterech stroniczek. Widocznie papier ten długo pozostawał w czyimś pugilaresie, widać to po składkach i zbrukaniu.

W zapiskach Goszczyńskiego (archiwum Rapperswilskie) znalazłem wzmiankę z datą 20 marca 1857, że poeta wy łał list do swego brata Władysława na Ukrainie. Bawił wtedy w Paryżu Zenon Fisz (Padalica), na odjezdnem wziął ten list z sobą dla doręczenia bratu poety. Władysław był po Sewerynie najstarszym z rodzeństwa, w którem, o ile wiem, było cztery siostry i siedmiu braci. Troje z nich zmarło w niemowlęctwie, kto w tym czasie (1857) zostawał przy życiu, o tem nie wiedział brat zagranicą*). Władysław pewno pozostał w sferze oficjalistów i tego miał Fisz odszukać, ale widocznie nie odszukał i listu nie doręczył. Gdyby doręczył, to autograf nie wróciłby do rąk literackich. Pozostał pewno w ręku Fisza.

*) Kiedy Seweryn wyjeżdżał na emigrację, żyli pewno trzej bracia: Władysław, Faustyn i Hieronim.

Treść listu utwierdza mnie w mniemaniu, że duża odległość poziomów dzieliła braci. Seweryn nie próbuje nawet zwierzeń, bo nie byłby zrozumiany. Do rzeczy ziemskich, które przebył przed r. 1842 sam nie przywiązywał wagi, a o tem życiu, które po tem rozpoczął, jako Towiańczyk, nie mówiło się z ludźmi niepowołanymi. Zresztą po jakich 30 latach niewidzenia trudno związać przerwany wątek, gdy się poszło w świat poza horyzonty lat młodocianych.

W pamiętniku Goszczyńskiego pod datą 2 marca 1858 znalazłem notatkę: „List od brata Faustyna. Zrobił na mnie błogie wrażenie, uderzył w strunę uczuć rodzinnych, którą miałem za całkiem już zerwaną: przypomniało mi się sercem dawne moje życie w gronie rodzinnem. Najrzewniej mnie dotknął przypisek jego córki Pauliny. Kocha mnie jak stryja. Pierwsza to w mojem życiu miłość dla mnie tego rodzaju".

Strony rodzinne: Wołyń, Podole, Ukrainę przypominali Goszczyńskiemu od czasu do czasu ziomkowie, którzy przybywali stamtąd do Paryża i uważali za powinność złożyć hołd sławnemu poecie. Tradycja po nim pozostała w kraju żywa. Odczuł to z radością poeta po powrocie do Lwowa w r. 1872. W 1875 Goszczyński otrzymał list od swego kolegi szkolnego Aleksandra Grozy, w którym ten w imieniu własnem i przyjaciół powiadamia o zamiarze wydania dzieła zbiorowego ku uczczeniu 50-lecia jego pracy pisarskiej. Że taka była treść listu Grozy, o tem dowiedziałem się od ś. p. Władysława Górskiego z Kotiużan (na Podolu), który mi udzielił do skopjowania odpowiedzi Goszczyńskiego na list Grozy. Obaj byli już u schyłku dni swoich: Goszczyński miał jeszcze przed sobą rok życia, Groza jeszcze mniej; zmarł w listopadzie 1875 r. Nie umiem oznaczyć, gdzie mieszkał wówczas Groza—w Żytomierzu, czy pod Berdyczowem, gdzie umarł. Oto brzmienie odpowiedzi Goszczyńskiego:

27 stycznia 1875 r. Lwów 54. ul. Halicka

Drogi mi Ziomku i Kolego!

Twój list uprzejmy z 31 grudnia r. z. doszedł rąk moich. Dziękuję Ci z głębi serca za życzenia, które mi przesyłasz, dziękuję Tobie i spólnym naszym kolegom za braterskie czucie, które wam podało myśl wydania Rocznika, świadczyć mającego o Waszej miłości i pamięci dla pracujących w tej samej winnicy, gdzie znaleźliśmy w Was godnych pomocników. Pomysł wasz szlachetny, a taki pomysł wydaje zawsze dobre owoce, jest pożyteczny ogółowi, zasługuje więc na powodzenie i tego wam życzę. Mam i to za dobre, że nie zapominacie o Michale Grabowskim. Literatura polska z nowego ducha i Ukraina wiele, wiele jest winna jego trudom pisarskim i pomimo przeciwnych mu opinji — dobrym jego chęciom, o których ja, co go znałem tak blisko, jestem najmocniej przekonany. Będzie mi zawsze miło widzieć nasze spomnienie obok siebie, jak szliśmy razem w trudnej pionierskiej pracy około niwy polskiego piśmiennictwa.

Bohdanowi Zaleskiemu doniosłem o Waszym zamiarze. Nie wątpię, że wiadomość ta obudzi w nim uczucie podobne mojemu.

Teraz co do moiej osoby. Opuściłem Francję w roku 1872-m. Od tego czasu przebywam w Galicji. Dotąd stałe moje zamieszkanie jest we Lwowie, gdzie ognisko moich starych przyjaciół, pomnożone dzięki Bogu, wielu nowymi. Zdrowie moje nie służy mi jakbym p agnął. Ale nie dziwię się jemu, po przebyciu tego, co ono musiało przebyć. Mam jednak nadzieję, że Bóg zasili mię jeszcze na lat choćby kilka, aby się wypłacić, przynajmniej w jakiejś części, za mi-

łość, którą tu dla siebie między ziomkami znalazłem. A w tych latach kilku byłbym wyjątkowo szczęśliwy, gdybym i ciebie, Kochany Kolego, mógł tu ujrzeć i uściskać uściskiem bratnim. Temczasem bądź zapewniony o moim dla ciebie szacunku i uczuciach braterskich. Najżyczliwszy kolega *Seweryn Goszczyński*

Kolegów z Humania łączyła przyjaźń głęboka; dość przykładu w liście powyższym, który świadczy, że uczuć dla Grabowskiego nie zmieniła nawet silna rozbieżność polityczna czasów późniejszych*). Al. Groza w swojej „Mozajce kontraktowej" (Wilno 1857) wspomina czule o Goszczyńskim z lat humańskich. Opublikowano już sporo listów, które oświetlają te lata i stosunki między Goszczyńskim, Zaleskim, Grabowskim, Janem Krechowieckim i in. Urywek pamiętnika czasów szkolnych i szereg listów między kolegami ogłosiłem w „Księdze pamiątkowej ku uczczeniu Mickiewicza" (Warsz. 1898). Do tej serji materjałów dorzucę drobny przyczynek, pochodzący od ś. p. Adama Krechowieckiego, znanego powieściopisarza.

Zapytany przezemnie w r. 1903, czy nie ma w papierach po ojcu lub z ustnej tradycji jakiejś wiadomości o Goszczyńskim, dał mi notatkę, w której przepisał ze „Wspomnień polskich czasów dawnych i późniejszych" E. Helenjusza (Lwów 1894, tom II, str. 295-7) ustępy dotyczące ojca, Jana Krechowieckiego. Eustachy Iwanowski (Helenjusz) zaczerpnął tę wiadomość o Krechowieckim od Eljasza Ostaszewskiego. Helenjusz dodał jeszcze o Janie Krechowieckim:

„W szkołach humańskich w obu uniwersytetach celujący uczeń, towarzysz szkolny Bohdana Zaleskiego, Michała Grabowskiego, Seweryna Gałęzowskiego, Goszczyńskiego, w młodości odziedzczywszy majątek, współkolegom pomagał, hojny dla nich w ofiarach i dobroczynny. Gdy wrócił na Ukrainę, gościł u siebie Goszczyńskiego, który w jego domu napisał „Zamek Kaniowski". Przysyłając mi ten wypis, Adam Krechowiecki dodał od siebie:

„Relacja Helenjusza (Iwanowskiego) i Eljasza Ostaszewskiego w głównych punktach wierna. Sprostować chyba to wypada, że ojciec mój nie był nigdy w Dreźnie; mieszkał jakiś czas we Lwowie, w Tarnopolskiem u powinowatych swoich Oczosalskich i u stryja swego Jędrzeja Krechowieckiego w Krechowicach w Stryjskiem, w Galicji. Po upadku powstania, zaciągnął się na Podgórzu pod Krakowem do legji litewsko-ruskiej Różyckiego i za dzielność, okazaną przy zdobyciu armat pod Daszowem, mianowany był kapitanem i kawalerem virtuti militari.

„Jan Krechowiecki urodził się 5 stycznia 1803 z ojca Franciszka Xawerego podkomorzego humańskiego i zwinogrodzkiego i Pauliny ze Skarbków - Wielobyckich, chorążanki bełzkiej. Po śmierci rodziców, zaszłej w r. 1826-7 objął majątek, złożony z trzech wsi: Leszczynówki, Czajkówki i Botwinówki, którą to ostatnią wieś odstąpił siostrze swej Tekli, wydanej za Antoniego Kamienieckiego herbu Pilawa (nie Kameneckiego), potomka w prostej linji słynnego hetmana w. kor.

„Mając lat siedm, oddany został do szkół bazyljańskich w Humaniu, skąd w r. 1820 pojechał do Wilna na uniwersytet, a potem do Warszawy...

„Po ukończeniu uniwersytetu i stracie rodziców przeniósł się na Ukrainę do majątku swego. W r. 1827 poślubił Sewerynę Przygodzką, córkę Stanisława wł. dóbr Berybiery na Ukrainie. Po wypadkach 1863, utraciwszy cały majątek, przybył do Galicji i umarł we Lwowie r. 1887.

„O stosunkach jego z Bohdanem Zaleskim, Goszczyńskim i Michałem Grabowskim mogą dać pewne wyobrażenie listy powyżej cytowane, a ogłoszone w „Tyg. Ilustr."— „Bibljoteka Warsz.", nie pomnę w którym roku, ogłaszała także część tej korespondencji*).

„W Leszczynówce ojciec mój zbudował ową altanę, czy też pawilon dla Goszczyńskiego i przyjaciół. Tam też mieszkał Goszczyński i pisał swój „Zamek Kaniowski". Z tych czasów (1826) pochodzi też wiersz p. t. „Wianek przyjaźni" rozpoczynający się od słów: „Chodźmy, Janie, na to wzgórze" pisany do mego ojca.

„O sąsiedztwie i otoczeniu ówczesnem nie wiele wiem. Przyjaciele żyli dość odludnie, czytając wiele i pracując. Mój ojciec miał bogatą bibljotekę, którą potem— w czasie pogromu nabyli sąsiedzi Rusieccy. Erazm Kozłowski był to stary nauczyciel matki mojej i jej starszej siostry przyrodniej Salomei z Trzcińskich Dzierżańskiej, żony powszechnie kochanego i szanowanego na Ukrainie Józefa Sulimy Dzierżańskiego, oficera w. p. adjutanta ks. Józefa.

„Czy i w kim kochał się Goszczyński nie wiem. Z usposobienia zimny i zamkinęty w sobie, przez kolegów — bardziej wesołych nazywany był „Katonem". Korespondencyj jego nie posiadam. W czasie prześladowań naszych, zakopana w ziemię w ogrodzie, butwiała wraz z innemi cennemi pamiątkami. Ostatni swój poemat „Posłanie do Polski" przysłał Goszczyński ojcu memu z Paryża do Lwowa z napisem: „Janowi Krechowieckiemu wierny od lat czterdziestu w miłości dla niego"...

„Czy „altana" dla przyjaciół w Leszczynówce dotąd istnieje—nie wiem. Nie widziałem też nigdy jej wizerunku, chyba jest w albumie Ordy, którego nie posiadam.

„Goszczyński, przybywszy w ostatnich latach swego życia do Lwowa, bywał u ojca mego dość często, ale był, jak zawsze, w sobie zamknięty i zimny, co mnie nawet— młodzieńca podówczas—mocno raziło. Ojciec mój z natury bardzo tkliwy i czujący głęboko, cierpiał na tem. W jego korespondencji z Bohdanem są ślady, że się na obojętność Goszczyńskiego uskarżał, a Bohdan tłómaczył to wpływem—Towiańszczyzny..." *Adam Krechowiecki*

Dosyć uprzytomnić sobie, w jakich warunkach zeszła Goszczyńskiemu starość, poświęcona pracy religijnej na obczyźnie, aby zrozumieć dramatyczny charakter momentów, kiedy dochodziły do niego wieści z gniazda rodzinnego na Ukrainie i czepiały się serca samotnika.

Motywy, które sobie odtwarzamy z przyczynków, snuły się wspomnieniami po jego duszy, jako pokuszenie do powrotu na Ziemię. Z. WASILEWSKI

*) Pod d. 23 września 1857 Goszczyński w zapiskach swoich notuje, że był w Paryżu Aleksander Groza. Udzielił mu wiadomości o Janie Krechowieckim i o Michale Grabowskim. Ze zgorszeniem napewno przyjeciele mówili o liście Grabowskiego do Bibikowa. Goszczyński napisał o Grozie: „Istny chłop ukraiński, chciał się jeszcze widzieć, nie widział się i bez pożegnania wyjechał".

*) „Tygodn. Ilustr." z r. 1890 (Listy M. Grabowskiego do B. Zaleskiego).—„Bibl. Warsz." 1884, II. Prz. Wyd.

DZIECIOM

Do mnie możecie zawsze przyjść z ufnością
I niechaj smutek mój Was nie odtrąca
Wyście z krwi mojej krwią i z kości kością
Tęsknota moja żyje w Was tętniąca.

Nie rozumiecie mnie, jak zresztą wszyscy,
Rozmowa moja z Wami taka łatwa
Bez zrozumienia myśmy sobie blizcy:
Serce przepala to, co myśl zagmatwa.

ZDZISŁAW MAŁACZYŃSKI

LIBERUM VETO

Nadzwyczajny okólnik.— Ograniczenie swobody protegowania zwłaszcza „nietykalnych".—Legja wizytatorów. Obrazek egzaminu.—Głos Szczepanowskiego.—To samo po 38 latach. — Nadzieja w przyszłych pokoleniach. — Najnowszy wynalazek magistratu.

TRZEBA przetrzeć oczy, azeby się upewnić, że one nie mylą, czytając okólnik ministra oświaty, polecający władzom podległym, ażeby nie uwzględniały żadnej protekcji i w decyzjach swoich przechylały się na stronę tych, którzy jej nie posiadają. Nareszcie! A to jak gdyby odezwał się Mussolini. Wagę tego okólnika ocenia tylko ci, którzy znają lub doświadczyli skutku ohydnych wpływów i nacisków na organy państwowe ze strony rozmaitych protektorów. Tego nadużycia dopuszczają się najliczniej posłowie sejmowi. Zamknięta pieczęciami dyskrecji i tajemnic urzędowych, brudna kronika zabiegów osobistych, listów polecających, żądań i pogróżek, mających na celu urwanie jakieś pożywnego kęsa korzyści dla siebie, swoich krewnych i przyjaciół, gdyby została ctwarta, opowiedziałaby czyny oburzające. Niema urzędu, niema biura, w którem by nie tkwiła jakaś narzucona przez protekcję figurą, jakiś nieuk i próżniak, jakaś wymalowana i głęboko wycięta zgóry i z dołu panienka, jakaś żona zamożnego lub gdzieindziej suto zarabiającego pana. Cała ta czereda mało albo nic nie robi, bezkarnie wyłamuje się z wszelkich rygorów służbowych, tylko ssie, nienasycenie ssie skarb publiczny, pochłania zabójcze podatki, wydobyte niemiłosiernie z biednego społeczeństwa. Jeżeli ministrowi oświaty uda się zdusić tę żarłoczną hydrę, będzie on miał prawo do jego wielkiej wdzięczności.

A skoro już zabrano się do opielenia z chwastów pola szkolnego, to należałoby zmniejszyć i oczyścić jeden jego dział, który wywołuje uzasadnione skargi. Mamy ogromną legję wyzytatorów. Jeżeli wogóle ten rodzaj urzędników jest potrzebny, to w każdym razie nie tak liczny i nie tak lichy. Jeden z nauczycieli opisuje nam w liście gorszącą scenę takiej wizytacji. Do Wołkowyska przyjechał pewien „doświadczony pedagog" dla przewodniczenia w komisji przy egzaminie maturalnym uczniów gimnazjum. Przeglądając wypracowania z języka polskiego, zrobił ostrą wymówkę nauczycielce, że nie dostrzegła błędu ortograficznego w wyrazie „czcicieli", który według niego powinien być pisany: „czczicieli". Na uwagę innych członków komisji, że zestawienie głosek „czi" nie istnieje w języku polskim, odpowiedział drwiąco i przytoczył słowo „czczony". Ten sam mistrz przy egzaminie pewnej uczennicy, objaśniając administracyjny podział Polski, wyliczył województwo wileńskie, którego wówczas jeszcze nie było i b a r a n o w i c k i e, którego nie ma dotąd. Ażeby okazać nietylko, co umie, ale co może, od 8 godziny rano do 2 w nocy męczył uczniów i nauczycieli ustnemi egzaminami. Czy wdzielibyśmy żałobę, gdyby ten wizytator został zredukowany i wszedł do kooperatywy, założonej przez usuniętych ze służby państwowej urzędników, między którymi jest zapewne wielu więcej od niego wartych i niepiszących: „czczicieli"?...

Ta kooperatywa jest objawem bardzo pocieszającym. Nie tylko dlatego, że może uratować egzystencję ludzi nagle pozbawionych materjalnej podstawy do życia, ale również dlatego, że zmniejszy tłum pchający się na drogę karjery urzędniczej. Jeszcze wtedy, kiedy ta droga była wązka lub zamknięta rogatką podczas niewoli, odziedziczanem po przodkach marzeniem Polaka było zdobycie jakiegoś urzędu lub przynajmniej jakiejś posady biurowej. Praca produkcyjna, stanowisko niezależne nie nęciły nas. Jak to z tego gustu drwił kiedyś S. Szczepanowski, przedstawiając stosunki urzędnicze w Galicji, które żywcem przeniesiono do niepodległej Polski, jak zarazę i plagę! Gdy czytamy stronice książki tego znakomitego Polaka, wydanej przed 38 laty, zdaje nam się, że to obraz naszego życia obecnego. Urzędnicy galicyjscy, których ogólna suma pensyj nie wyrównywała dochodowi jednego lorda angielskiego, nie tylko żyli w nędzy, ale znikczemniali swoje charaktery, służąc, jako bezmyślne kółka maszyny biurokratycznej, licho wynagrodzone. W tym systemie znikła osobista odpowiedzialność, którą „we wszystkich gałęziach zastąpiono paragrafem, procedurą piśmienną i skomplikowanemi kontrolami mechanicznemi, które wprawdzie chybiają swego celu, ale wymagają nieskończenie wiele niepotrzebnej roboty i tylko służą do tego, że choćby administracja jak najmniej odpowiadała swemu zadaniu, to można powiedzieć, że to wszystko się stało według reguł i nikogo odpowiedzialnym za zły stan uczynić nie można... Siła polityczna całego kraju—pisze dalej Szczepanowski—wyczerpuje się na uzyskanie drobnych faworów i koncesyjek niewartych tego zachodu i prawie niewpływających w niczem na kwestję najważniejszą, t. j. na podniesienie dobrobytu krajowego. Wszystko karleje i maleje do miary dysput o kilka pensyj urzędniczych. A tymczasem ogólne zwątpienie, apatja i martwota ogarnia cały kraj... Z odzwyczajeniem się od zbiorowych wysileń ginie poczucie łączności, kraj rozpada się na kasty i stany, stan—jednostki". Ten głos, a raczej ten krzyk znakomitego ekonomisty nie tylko przebrzmiał bez echa w Galicji, ale nie zapobiegł temu, ażeby opisanej przez niego jej „nędzy" nie rozpostarto po całej zjednoczonej Polsce. W jakąkolwiek dziedzinę administracji wejdziemy, zewsząd usłyszymy rozpaczliwą skargę na „bezduszne automaty" austrjacko-galicyjskie, które wprowadziły tężec do całego naszego życia państwowego. To powszechna prawie niechęć kongresowiaków i poznańczyków do małopolan—to nie jakaś dzielnicowa nieprzyjaźń, ale słuszna odraza do wcielonego w nich systemu biurokratycznego, najgorszego w całej Europie, wytrawiającego w duszach ludzkich wszelką samodzielność, wszelką twórczość, wszelkie odczuwanie życia społecznego. I ten właśnie zabójczy system został wprowadzony do zmartwychwstałej, długą niewolą osłabionej Polski. Ogólny przeciw niemu wstręt i skargi usiłują niektórzy obrońcy „galileuszów" odeprzeć przytoczeniem dzielnych i nie zmechanizowanych jednostek. Nikt istnieniu tych wyjątków nie przeczy, ale jaka jest większość? Zapewne, gdy ona wymrze, gdy narodzą się nowe pokolenia, nie wychowane w tresurze austrjackiej, wyrobią w sobie pożądane cnoty i zdolności obywatelskie. Ale ten wypadek jest jeszcze bardzo daleki. Tymczasem gromada manekinów, sztucznie do mechanicznego ruchu nakręconych, psuje młode Państwo w czasie, kiedy ono najwięcej potrzebuje sił sprawnych i twórczych. Te chodzące a nie myślące maszyny biurokratyczne powinny być przedewszystkiem redukowane i zwrócone na inne pola pracy. „Związek współdzielczy" odprawionych urzędników otwiera im tę drogę.

Smutno nam, że inne narody zbogacają ludzkość ciągle nowemi odkryciami i wynalazkami, a my tylko podziwiamy triumfy ich geniuszu. Do pewnego jednak stopnia ratuje naszą sławę magistrat warszawski. Ile z tej pracowni wyszło już nowych wynalazków podatkowych! Zdawało się, że ona dotarła już do granicy swoich oryginalnych pomysłów. Tymczasem, jak słychać, wkrótce zadziwi świat nowym: mianowicie, mają być opodatkowane tabliczki na wozach, wskazujące ich właścicieli i miejsce pochodzenia. To świadczy, że owe granice mogą być jeszcze znacznie rozszerzone. Dlaczegóżby np. nie miała być opodatkowana zbytkowna gorączka chorych

ponad 37 stopni? Również nadają się do tego celu zegarki o dwu kopertach, zapasowe pary butów i spodni, wykłówaczki do zębów i t. p. Przecież dla zbytecznych urzędników, popełniających nadużycia przedsiębiorców, i strajkowiczów potrzeba dużo, bardzo dużo pieniędzy.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

FAŁSZYWY ALARM

„REKLAMA zuchwała, jarmarczna... jawna, tajna, urzędowa, półurzędowa, zalewa wszystko... Niezdrowa atmosfera kapliczek artystycznych, w której się stwarza jakieś lokalne niekontrolowane wartości, wzajemne admiracje, gdzie się rozdaje wieńce genjalności".

Nareszcie! Znalazło się nareszcie pioro śmiałe i bezwzględne, by uderzyć w samo centrum gangreny naszego sfrymarczonego życia literackiego. Nareszcie ktoś zaczyna demaskować koterje i kapliczki, panoszące się bezczelnie po pismach i grupach, trzęsące opinją kraju, zarazą przepełniające z warszawskiego ośrodka całą Polskę powojenną. Nareszcie. Niech żyje Boy!

Lecz cóż to? O kim tu mowa?!

Tytuł fejletonu szanownego tłumacza „Żywotów pań swowolnych" („Kurjer Poranny" z 4 lutego) brzmi: „Ostatnie słówko o Pol-Fauście"—a cytowany powyżej ognisty alarm odnosi się do... Emila Zegadłowicza i Stanisława Miłaszewskiego! Boy sypie tu jak z rogu obfitości niewybrednemi wyzwiskami pod ich adresem, Boy generalizuje i z nieistniejącej igły robi widliska olbrzymie.

Cóż się stało?

W ciągu dwuch dni od pierwszej recenzji przekład „Fausta" w opinji Boy'a urósł do rozmiarów jakiegoś wstrętnego potwora, tłumacz sam nazwany jest już „naiwnem synem puszczy" (?!), Miłaszewski „szefem zuchwałej reklamy", która szerzy „orgje" i „wrzask" — już oto nie „większość", ale „cała krytyka" (!) wypowiada się o wartość pracy p. Zegadłowicza „b a r d z o u j e m n i e" (krytyki, jak wiadomo, były mniej więcej równo podzielone na dwa obozy)—a wszystko to jest potworniejsze od ohydztwa „niedawnej historji z czarownicą w Wieliszewie".

I tak pisze Boy? Pisze z samego środka Warszawy, tej rozkrzyczanej autoreklamami literackiemi Warszawy? Na szpaltach swego „Kurjera Porannego" to pisze, gdzie tak często czytujemy dowcipne rozmówki reklamowe o flirtowaniu z Melpomeną? Tak pisze Boy, przypatrujący się od lat milczkiem tuzinom fotografij poetów w ich własnych pismach? Czytujący co tydzień wywiady młodych ludzi z samymi sobą? Tak pisze Boy, w swej ostatniej książce mówiący o sobie: „Kończąc ten fejleton, widzę, żem się przez cały czas chwalił; ale takie teraz czasy, że człowiek sam się musi chwalić, a nie jak dawniej czekać skromnie, aż go pochwalą inni. Wszyscy chamiejemy potrosze, taka już epoka; ale trudno, trzeba iść z duchem czasu; z dwojga złego wolę być żywym chamem, niż dystyngowanym nieboszczykiem". (Brewerje str. 26). (A gdyby tak spróbować być i żywym i dystyngowanym zarazem? Bywają i tacy jeszcze...) I po tem wszystkiem owe groźne, mocne słowa o „wrzasku reklamowym" zwraca właśnie do najcichszego w całej Polsce poety, do... Emila Zegadłowicza i do Stanisława Miłaszewskiego?? Wybaczy pan, panie Tadeuszu Żeleński, nieco mniejszym oto szacunkiem nacechowany okrzyk: Z piką na raki!

Trudno zrozumieć, o co tu chodzi. Bo trudno przypuścić, aby Boy autoreklamą nazywał stereotypowe komunikaty repertuarowe w gazetach, przez nikogo poważnie nie brane, a zawsze operujące pustemi superlatywami, trudno przypuścić, aby tak nazywał fragmenty przekładu, przed premjerą ogłoszone w kilku pismach. Więc tylko o zdanie Miłaszewskiego chodzi, wyrażone w artykułach jego nazwiskiem podpisanych? Czyż więc Miłaszewski, będąc kierownikiem literackim Teatru Narodowego, tem samem ma przestać czuć, jako poeta, ma się wyrzec własnego zdania lub taić je w sobie? Czyż nie wolno mu głośno w osobistym artykule powiedzieć, że utwór, przez jego teatr wystawiony, uważa za piękny? Nie wolno mu w tonie wysoce kulturalnym i wykwintnym (jak to uczynił) polemizować z ludźmi o innym poglądzie? A gdy poeta Zegadłowicz w wywiadzie prasowym zdobędzie się na parę słów osobistej spowiedzi z najcichszych swoich uczuć, mówiąc o „Fauście", który żył w nim od szeregu lat, aż część pierwsza tego dzieła znalazła ujście formalne w skupieniu trzech tygodni — to się to wyznanie brutalnie okrzykuje jako „dziecinną megalomanję"? A skoro tenże poeta z pokorą powie: „Wierzę w Opatrzność. Myślę, że z Jej to poręki moje projekty zeszły się z konkretnemi planami Teatru Narodowego", to się to jaskrawym stylem „Esika w Ostendzie" wydrwi, jako „bałamucenie się opatrznościowe"? Kilkudziesięcioletnie obcowanie z wielkimi pisarzami Francji powinno było pana, panie Boy'u, uchronić przed takim brakiem godności.

. . . .

Masz, poeto, za swoje! Nie trzeba było dawać przekładu „Fausta" do teatru w Warszawie, rzucać go na stołeczne targowisko, gdzie, tak rzadko poezja dochodzi do głosu. Trzeba ci było dalej, w zbożnem osamotnieniu, siedzieć zdala od zgiełku rynkowego, w Gorzeniu Górnym, i czyste, ciche wiersze składać, jak dotąd. Płuca masz zbyt słabe, do krzyku nie nawykłe. Trzeba nadal, jak dotąd, nie wpychać swoich książek do rąk krytykom, nadal nie wygłaszać sensacyjnych odczytów o sobie, nadal ni razu palcem nie kiwnąć ku utorowaniu sobie drogi w ten światek...

Pod adresem p. Boy'a-Żeleńskiego natomiast kieruję te słówka: wyrządził panu Zegadłowiczowi ciężką krzywdę i jeśli pan raz jeszcze, w chwili uspokojenia, przeczyta przekład „Fausta" (bez skreśleń reżyserskich), jeśli pan przeczyta ballady beskidzkie i „Godzinki" i „Wielką Nowinę" (może to dla pana będzie naprawdę wielka nowina...?) — to wówczas chociaż w skrytości serca pan przyzna, że o poecie tego rodzaju n i e m o ż n a powiedzieć, że jest „megalomanem", „petitową genjalnością" i „tokującym głuszcem" (nie, panie Boy'u, przeciwnie: Zegadłowicz tem się odznacza, że nie ma cienia erotyzmu i perwersji), że jest... „partaczem" i „mistycznym reklamiarzem"—że tego o nim żadną miarą powiedzieć się nie da!

Na ewentualny argument, że gdy chodzi o pańską czujność wobec „zdobytego z trudem stopnia kultury" narodowej, nie może się pan oglądać na krzywdę jednostki, — odpowiedź jest łatwa: pomiatając pracą poety polskiego, krzywdzi pan właśnie tę kulturę narodową. Nawiasem: co ma znaczyć ten krewki i ognisty „apel" pod adresem krytyków: łączcie się na zgnębienie pana Z. i pana M.! Odpowiedzieć należy apelem do poetów polskich, aby żądali szacunku dla wysiłku poetyckiego.

Pytam (przyjmując w tej chwili, że we wszystkiem innem ma pan rację zupełną), w jaki sposób i w jakich rozmiarach pańskie sumienie artystyczne zdolne będzie krzywdę, zadaną nieskazitelnemu polskiemu poecie i szlachetnemu człowiekowi, zmazać, odwołać i naprawić?

Jeśli panu szczerze na prawdzie i na powadze poezji zależy, odpowie mi pan na to jedno pytanie.

Wilno, dnia 10 lutego 1926. WITOLD HULEWICZ

PO PROCESIE

W DNIU 15 b. m. drugi wydział Sądu Najwyższego w pełnym komplecie pod przewodnictwem prezesa Mogilnickiego rozpoznawał sprawę kasacyjną red. Z. Wasilewskiego w procesie wytoczonym mu przez Al. Lednickiego. Przypominamy, że do Sądu Apelacyjnego Lednicki zaskarżył wyrok pierwszej instancji, jako dla niego niekorzystny. Wyrok ten uznał wprawdzie, że redaktor Wasilewski zdrady Lednickiemu nie dowiódł, wszakże red. Wasilewskiego od winy uwolnił, upatrując, że miał dostateczną podstawę o zdradę Lednickiego pomawiać. Chodziło więc w apelacji o tę drugą część wyroku. Sąd apelacyjny wyszedł z założenia, zajętego przez rzeczników oskarżyciela, że nie może być mowy o dobrej wierze publicysty, który przecież powinien wiedzieć, że działalność Lednickiego w czasie wojny była wyrazem jednej z orjentacyj politycznych, dążących do wskrzeszenia Polski, że przeto choćby nawet objektywnie była szkodliwą nie może podlegać kwestjonowaniu ze stanowiska etycznego i prawnego. W skardze kasacyjnej mecenas Kijeński przytoczył, że stanowisko Sądu Apelacyjnego jest błędne, praktyki bowiem Lednickiego nie miały nic wspólnego z żadną orjentacją, zmierzającą do wskrzeszenia Polski, owszem to wskrzeszenie udaremnić usiłowały. Wszystkie orjentacje polskie miały na celu w jakiś sposób nie dopuścić do pogodzenia się Niemiec z Rosją, a przez to do nowego podziału Polski, podczas gdy Lednicki, działając nie samodzielnie, lecz w myśl pewnych sfer rządu rosyjskiego (Milukow), dążył do wycofania sprawy polskiej z areny międzynarodowej i uczynienia jej na nowo kwestją wewnętrzną Rosji. Sąd Najwyższy stanowiska tego nie wziął pod uwagę i wyrok Sądu Apelacyjnego potwierdził. Przypadająca oskarżonemu kara została na mocy amnestji umorzona.

Wyrok w obu instancjach, aczkolwiek zasadniczo odmienny, nie wątpimy ani chwili, zapadł zgodnie z sumieniem sędziów i w jednym i drugim wypadku, różne tylko było rozumienie zdarzeń dziejowych, a na ich tle obowiązków jednostki. I dlatego właśnie proces był pożyteczny, bo pokazał, że to rozumienie w pewnych sferach społeczeństwa jest rozmaite. Proces, przeorawszy głęboko tereny tak odpowiedzialnego momentu historycznego, spełnił dobrą robotę w trudnej dziedzinie uświadomienia polityczno-moralnego. Był to egzamin i sędziów.

Jeden z publicystów żydowskich, usiłujących podpowiadać Polakom, co mają czuć i myśleć, teraz, żeby sprawę Lednickiego zbagatelizować, napisał, że proces był n u d n y. Nie dla zabawienia motłochu prowadziło się tę sprawę. Społeczeństwo polskie nie może się zaprzeć swoich dramatów i tragedyj dla tego tylko, że Żydzi się nudzą. Prawda, że są gośćmi, ale spraw domowych nie można dla gości zaniedbywać. Wiemy przecież, jak bardzo tych publicystów nudziła (nawet niecierpliwiła, nawet oburzała) sama sprawa polska, że się ją „piłowało" całe 150 lat. O jakże byliby radzi rozerwać się znowu choć trochę odmianą losu polskiego!

ŻYWOT CHŁOPA POETY

JUŻ 55 lat liczy chłop poeta Ferdynand Kuraś z powiatu tarnobrzeskiego w widłach rzecznych między Wisłą a Sanem. Z rodziny wyrobniczej, a więc nawet nie kmiecej, wychowany w nędzy najjaskrawszej, ordynarnej, na dobitkę nieszczęścia głuchy zupełnie wskutek nieszczęśliwego wypadku w młodości, wśród najcięższej pracy fizycznej czytywał, co mu popadło w rękę i... układał piosenki. Rzecz dziwna: człowiek naprawdę upośledzony od losu, mający wszelkie powody po temu, ażeby przeklinać los i życie, buntować się przeciw doli, stosunkom i ludziom, ten chłop pieśniarz jest śpiewakiem pełnym słodyczy. Tylko dobroć i umiłowanie piękna i dobra, liryczna strona miłości ojczyzny są motywem jego pieśni. Ogłaszał je w tygodnikach ludowych, a jak przystało na biedaka, ogłaszał je za darmo. Znaleźli się ludzie, którzy wydali je zbiorowo, ale jestem pewny, że autor prócz zadowolenia nie miał żadnej korzyści.

Jego pieśni, przepojone wpływem romantyzmu, dobre, szlachetne, sielankowe, odbijały tak bardzo od ciężkiej szarzyzny jego osobistego życia, a co ważniejsza od brutalnych walk i apetytów, jakie się dokoła niego kłębiły, że jako zjawisko osobliwe pobudziły pewne koło ludzi dobrej woli do zebrania funduszu na zakupno dla niego chłopskiej zagrody w formie daru narodowego. Sprawa, poczęta z zapałem i rozmachem, została przerwana przez wojnę. Zła dola nieszczęśliwego wyszczerzyła i tutaj swoje ironiczne zęby: Kuraś nie ma jeszcze obejścia bodaj kilkunastomorgowego, któreby mu pozwoliło z otuchą patrzeć w przyszłość.

A przecież jest to śpiewak przedewszystkiem szlachetny. To, co w jego duszy jest najczystsze, najnieskazitelniejsze, prawdziwie niepokalane, tylko to ubiera w słowa i podaje do czytania współbraciom. A przejawia się w tych wierszach nietylko własna jego dusza. Wyraża się w nich także dusza ludu, a raczej wielkiej jego części. Jest pewien bardzo znaczny odłam naszych chłopów, pełen ogromnej dostojności w formach i uczuciach, delikatny, czysty i szlachetny. Przed pół wiekiem był to typ powszechny — dziś „Saksy", robota polityczna inteligentnych zołzikiewiczów, rozkiełznanie pęt domowego obyczaju wyprowadziły na powierzchnię męty złodziejskich karjerowiczów i dostojny typ gospodarski został zepchnięty w cień, ośmieszony i zagłuszony. Ale on jest. Najlepszym na to dowodem jest Kuraś, a zastanawia fakt, że powiat tarnobrzeski wydał obok Kurasia także i osławionego Dąbala.

Ten więc poeta-chłop opowiedział swoje przeżycia aż do wybuchu wojny światowej w dziełku p. t. „Przez ciernie żywota" *). Tylko sam tytuł zawiera w sobie coś ze skargi i z żalu. Treść sama jest pogodną, prostą opowieścią zdarzeń i wspomnień, które same krzyczą za siebie niejako wbrew woli poety. Trzeba je czytać. Żeromski w przedmowie do tego pamiętnika określa jego stosunek do literatury, a przedewszystkiem do społeczeństwa polskiego. Kto zatem chce zrozumieć ważność i znaczenie tego zjawiska, niech przeczyta opinję Żeromskiego.

Ze swej strony chcę zwrócić uwagę na dwa fakty, nieznane Żeromskiemu, a nie podkreślone przez Kurasia. Pierwszy to jest niebywała wprost nędza na wsi, w środkowej Galicji, w latach od 1870 do 1890.

Pochodzę z blizkich stron, bo z wideł rzecznych między Wisłokiem a Sanem. I pamiętam te czasy w powiecie łańcuckim (który obejmował podówczas także Przeworsk). To, co Kuraś pisze o nędzy w domu rodziców, to nie jest sporadyczny wypadek — to reguła, przynajmniej na lewym brzegu Sanu od Jarosławia do Sandomierza. Mleka skąpiono nawet dzieciom, bo poza masłem i jajami nie miano nic na sprzedaż. Chleba brakowało na wsi zawsze od Wielkiej Nocy do żniw, a bardzo często przednówek zaczynał się już po Bożem Narodzeniu. Brano więc od Żydów po korcu, półkorczyku, czy półmacku, aby po żniwach oddać trzykrotną miarę.

W lecie gotowano głuchą pokrzywę, lub zielsko z pod płota, zwane „kocie bułki". Mógłbym broszurę na-

*) F e r d y n a n d K u r a ś. „Przez ciernie żywota". Wspomnienia z przedmową Stefana Żeromskiego, Częstochowa 1925. Nakładem księgarni A. Gmachowskiego.

pisać na temat nędzy, jaką sam zapamiętałem w dzieciństwie. Nie tu czas i miejsce na wyjaśnianie przyczyn — notuję tylko fakt, ażeby ułatwić zrozumienie niektórych wspomnień Kurasia. Nędza u Kurasiów, to powszechne podówczas zjawisko. Dopiero później wyjazdy do Ameryki i zarobki przy regulacji rzek przyniosły poprawę w tym kierunku. Ale też w latach dziewięćdziesiątych prawie każda czwarta chata miała kogoś w Ameryce. Gospodarze tarnobrzescy wyrobili się też rychło na dzielnych majstrów dla budowli wodnych i regulowali kolejno prawie wszystkie lewobrzeżne dopływy Wisły.

To jeden fakt natury materjalnej. Drugi jest moralny. W tej nędzy wyrastały dzieci, czczące i kochające rodziców wprost bez granic. U niektórych dochodziło to do kultu, poprostu do religji rodziców. Ojciec Kurasia był perjodycznym alkoholikiem. Znałem takie typy, które raz na 2 lub 4 tygodnie upijały się na umór, targając wszystkie więzy, dopuszczając się niepoczytalnych występków. A kiedy trzydniówka pijaństwa minęła, człowiek taki powracał do normalnych zajęć, unikał alkoholu ze wstrętem, pracował z niebywałym wysiłkiem i był zacnym, rozumnym, dobrym człowiekiem aż do nowego napadu. Ludność przypisywała to perjodyczne upijanie się wpływowi faz księżyca i zwała takich nałogowców „płomętnikami" (płanetnik).

Wskutek tego nałogu stary Kuraś tracił nieraz zaszczytne i na owe czasy intratne zajęcia, jak pisarza gminnego, lub prywatnego nauczyciela w szkółce zimowej. Narażał więc bezpotrzebnie rodzinę na nową nędzę. I trzeba czytać, z jaką wstydliwą delikatnością przechodzi poeta nad tym nałogiem ojcowskim, którego przemilczeć nie mógł, ale o którym napomknął jeden tylko raz. A potem ciągnie się nieprzerwanie jeden łańcuch przywiązania i szacunku dla ojca, poczucie wieczystego niespłacalnego długu ze strony syna, długu, od którego nie zwalnia nawet założenie własnej rodziny.

To nie jest ani wyjaśniane, ani uzasadniane, bo to rozumie się samo przez się, bo tak jest i tak być powinno. Sam żyjąc w niezwykle trudnych warunkach, poeta ciągle pomaga rodzicom i ani tem się nie chwali, ani tego nie usprawiedliwia. I znowu muszę zaznaczyć, że to uczucie, a raczej ten instynkt był wrodzony prawie wszystkim chłopskim dzieciom z tych stron, zanim demoralizujący wpływ inteligencji, tudzież rozluźnienie obyczajów, przywiezione z Prus, z Ostrawy i t. d. nie wykorzeniło tej cnoty z serca następnych pokoleń.

Budując na tej cnocie, nędzarze wiejscy starali się dać dzieciom wykształcenie, lub choćby rzemiosło, a co zatem idzie, kawałek chleba, aby mieć na starość wsparcie u dzieci. Stąd ten pęd do szkół. Gimnazjum rzeszowskie było zapełnione chłopskiemi dziećmi i dostarczało głównego kontyngentu kapłanów rozległej djecezji przemyskiej. U księdza zaś gospodarzyli rodzice lub rodzeństwo. Bywali coprawda i wyrodkowie, z których miasto zdjęło już wiejską dyscyplinę starego obyczaju.

Kuraś poeta nie chodził do szkół. Zato poszedł do rzemiosła. Zegarmistrzem pragnął zostać, ale musiał skończyć na szewstwie i do tego terminować u Żyda. I tu znowu uderzające jest zetknięcie się tej szlachetnej, prostej indywidualności ze światem tak odrębnym i obcym. Zresztą styka się i z innemi światami. Dla zarobku wyemigrowali na czas jakiś do Królestwa Kongresowego, nawet do fabryki, a biedne pacholę nie wiedziało wcale, że jest w tych jego dziejach pogoni za chlebem symbol naddzielnicowy: narodowy.

Zetknął się i z panami. Twarde i symboliczne jest to pierwsze spotkanie się z hr. Zdzisławem Tarnowskim na Dzikowie. Symboliczne, bo w tej nieużytości młodego podówczas Stańczyka zawiera się historja polityki stańczykowskiej, bezlitosnej dla ludu. Przecież ci panowie, rządzący podówczas krajem, przeszkadzali emigracji zarobkowej do Ameryki, aby mieć taniego robotnika z nędzarzy. W tym samolubnym braku litości i ludzkiego zrozumienia tkwi zaród przewrotowej zaciekłości ludowców i socjalistów, a z nim razem i wszystkich nieszczęść publicznego życia w Galicji.

Trzeba podziwiać umiar, takt i smak poety, który u rodaków szuka wszędzie stron świetlanych. To też, zaznaczywszy tylko to twarde spotkanie się z magnatem samolubnym i niewyrozumiałym, rozszerza się i unosi nad szlachetnością, rozumem i dobrocią innego hr. Tarnowskiego, mianowicie prof. Uniwersytetu, Stanisława. I dobrze jest, że zasłużony ten i szlachetny człowiek, poniewierany nieraz przez zawiść polityczną, znalazł we wspomnieniach chłopa poety tak piękną i prawdziwą sylwetę.

Krótko mówiąc, wspomnienia Kurasia warte są przeczytania, nietylko przez pożeraczy książek, ale przez socjologów, historyków i polityków—warte czytania przez wszystkich, którzy po zwyrodnieniach dzisiejszej mody literackiej chcieliby wykąpać duszę w czystym zdroju prostej, a głęboko kulturalnej swojszczyzny.

JAN ZAMORSKI

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Podwójna żałoba. — Uchwały Zw. Lud.-Nar. — O stałe miejsce w Radzie Ligi. — Prowokacja litewska. — Zbędne dyplomatyzowanie.

JEŚLI polityką nie jest tylko gra dyplomatów, ani manewry taktyczne przywódców parlamentarnych, ale świadome kształtowanie całości moralnego i materjalnego życia narodu, wówczas mało będzie dla polityki polskiej spraw równie doniosłych, jak te wszystkie, które pośrednio czy bezpośrednio związane są z życiem Kościoła Katolickiego. Żałoba przeto, jaka w ciągu ostatnich dwuch tygodni dwukrotnie Kościół polski okryła, nie jest jedynie żałobą wiernych, ani osieroconych archidjecezyj. Jest to żałoba Państwa i Narodu polskiego, jako całości. Wyrazem tego był pogrzeb ś. p. ks. kardynała Dalbora, gdzie Polska cała, oficjalna i nieoficjalna, powszechny składała hołd u trumny pierwszego w odrodzonem Państwie Prymasa Rzeczypospolitej.

Całą też Polskę okryła bolesną żałobą nieoczekiwana wiadomość o śmierci ś. p. ks. arcybiskupa Cieplaka. W okresie, gdy niedoceniane są wartości religijne i moralne, a bohaterstwo poniżane, męczeńska postać ś. p. arcybiskupa Cieplaka była wobec świata przykładem i symbolem najszlachetniejszych cech polskiej duszy: wiary, męstwa i bezgranicznej gotowości ofiary. Każdy też Polak zawsze we wdzięcznej pamięci zachowa, że sprawozdania z moskiewskiego procesu ks. Budkiewicza i ks. Cieplaka mógł odczytywać z uczuciem nietylko boleści, ale dumy.

W naszem wewnętrznem życiu partyjno-politycznem niewątpliwie ważnem wydarzeniem był zjazd Rady Naczelnej Związku Ludowo-Narodowego i powzięte na nim uchwały. Ważnem nietylko dlatego, że jako najliczniejsze stronnictwo, wywiera Związek poważny wpływ na politykę rządu i sejmu. Znaczenie wspomnianych uchwał na tem przedewszystkiem polega, że nie są one zwykłemi, na kolanie układanemi rezolucjami „w sprawach aktualnych", ale jasno sformułowanemi punktami programu narodowego, dotyczącemi szeregu najważniejszych i najpilniejszych w polityce naszej zagadnień. Prasa codzienna podała tekst tych uchwał, które zbyt trudno byłoby na tem miejscu streszczać i omawiać. Stwierdzić tylko trzeba, iż w rozwoju twórczej myśli politycznej w Polsce są one nowym, dalszym krokiem naprzód.

Jedna z uchwał Rady Naczelnej Zw. Lud.-Nar. stwierdza, iż „Polska domaga się... natychmiast stałego miejsca w Radzie Ligi Narodów, należnego jej wobec wielkich zadań, jakie ma do spełnienia w Europie środkowej i wschodniej". Sprawa ta, wciąż jeszcze nie rozstrzygnięta, żywo jest obecnie omawiana w rokowaniach przedstawicieli mocarstw i w całej prasie europejskiej. Wytężona akcja przeciwpolska propagandy niemieckiej widoczna jest na każdym kroku. Coraz jaśniejsze jest, iż rzecz ma znaczenie zasadnicze, nietylko dla Polski, ale wogóle dla całego dalszego układu stosunków politycznych w Europie.

Że Niemcy nie zaniedbują żadnej okazji, aby w chwili obecnej utrudnić położenie Polski na terenie międzynarodowym, tego dowodem prowokacyjny napad litewski na terytorjum polskie w lesie pod hajskim, kierowany — jak się okazało—przez oficerów niemieckich. Źle się też stało, że napastników nie ukarano natychmiast w sposób należyty ale — jak doniosły dzienniki—„policja polska, której zakazano strzelać, cofnęła się wgłąb kraju," a „zastępca starosty powiatu wileńsko-trockiego przeprowadził rokowania z Litwinami." Taka dyplomacja podstarościńska zamiast naturalnego, dla wszystkich zrozumiałego odruchu przepędzenia napastnika, mało istotnie przyczynia się do umocnienia powagi naszej, jako mocarstwa...

IGN.

NAUKA I LITERATURA

ROCZNICA GOSZCZYŃSKIEGO

W DNIU 26 lutego r. b. upływa 50 lat od dnia śmierci poety i działacza narodowego Seweryna Goszczyńskiego.

Urodzony w Ilińcach 4 listopada 1801, a więc 125 lat temu, przeżył trzy ćwierci stulecia. Przeszedł, jak meteor z naszych kresów wschodnich poprzez Warszawę (Noc listopadowa), Galicję (1831 — 1838), Francję na emigracji (1839 — 1872) i zgasł po powrocie do kraju we Lwowie. Tam na cmentarzu Łyczakowskim pod pomnikiem, na którym posąg poety, spoczęły prochy szczerego romantyka, patrjoty zdolnego do czynu i myślącego, wreszcie pokutnika, w którym duch polski przebył proces oczyszczenia.

W tece pośmiertnej Teofila Lenartowicza znaleziono utwór (napisany w r. 1875), w którym poeta poświęcił S. Goszczyńskiemu taki ustęp („N.-Reforma" nr. 212 z r. 1893):

Sen cichy przynosi mi jeszcze
Dwa cienie szlachetne z pod wieżyc wawelskich.
Seweryn... poznaję oblicze to wieszcze
I czoło zadumań tak pełne anielskich.
On jeden ostatni, w chorągiew spowity
Śród bitew podartą, ostatni z poetów,
Co rytmy z żelaznych układa bagnetów,
A wzrokiem ogarnia ojczyste błękity
I lutnię swą stroi do niebios nastroju;
Ostatni wieszcz polski, mistrz lutni i boju.

Pisma Goszczyńskiego wyszły w wydaniu kompletnem we Lwowie 1910 r. w 4 tomach (to samo wyszło także w jednym dużym tomie) nakładem H. Altenberga, w redakcji Z. Wasilewskiego. Redaktor zbioru, zawierającego w połowie nieznane dotąd w wydaniach tego poety pisma, opublikował u św. Wojciecha w Poznaniu 1923 książkę p. t. „Seweryn Goszczyński". Przedtem wydał we Lwowie materjały do życia poety z okresu galicyjskiego (1831—39) p. t. „Z życia poety romantycznego". Obie te książki razem dają najpełniejszy obraz życia i twórczości Goszczyńskiego. Poza tem istnieje krótsza, ale gruntowna praca o tym poecie prof. Gabriela Korbuta, ogłoszona w t. V „Sto lat myśli polskiej". W r. 1924 prof. St. Pigoń wydał w Wilnie pamiętnik Goszczyńskiego (1801 — 1842) p. t. „Podróż mojego życia". Bardzo cenne są wydania „Zamku Kaniowskiego" i „Króla Zamczyska" w „Bibljotece Narodowej" ze względu na studja w przedmowach Józefa Tretiaka.

*

W związku z rocznicą Goszczyńskiego przypomnieć warto pracę Dr. Stanisława Pazurkiewicza p. t. „Poczucie przyrody w twórczości Seweryna Goszczyńskiego. (Tarnów, 1921 r. Nakładem księgarni Zygmunta Jelenia).

Studjum to opracowane zostało ze znajomością przedmiotu i talentem. Autor wykazał i scharakteryzował pierwiastki przyrody ukraińskiej, która była pierwszym, bujnym gruntem dla rozwoju twórczości poety, dał pełen odczucia zarys epoki romantyzmu i syntetyczny przegląd prac, poświęconych Goszczyńskiemu.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Zasłużona firma wydawnicza „Gebethnera i Wolffa przystąpiła do wydawania miesięcznika pt. „Ruch Literacki". Redaktorem jest profesor literatury polskiej w Uniw. Warszawskim Bronisław Gubrynowicz. Pismo poświęcone będzie ruchowi na polu badań historyczno-literackich. Wobec istnienia w Polsce w pięciu uniwersytetach kilkunastu katedr literatury polskiej biuletyn taki będzie bardzo pożyteczny. Z uznaniem też powitać należy inicjatywę i szczęśliwą realizację.

Pierwszy zeszyt przedstawia się poważnie. Aczkolwiek niewielki objętością (2 arkusze w 8-ce), jednak umiejętnie wyzyskany typograficznie i redakcyjnie, zawiera sporo informacyj, mogących zainteresować polonistów. Znaczną część miejsca poświęcono bibliografji, co poczytać należy za dodatni rys pisma. Praca w zakresie historji literatury polskiej bardzo się ożywiła w ostatnich latach, do czego niemało przyczyniły się istniejące przy wszystkich katedrach seminarja. „Ruch Literacki" stanie się organem uniwersyteckim katedr literatury, tem niezbędniejszym, że „Pamiętnik Literacki" Tow. Lit. im. Mickiewicza wychodzi rzadko i jest obciążony studjami.

*

Prof. uniw. lwowskiego Wilhelm Bruchnalski zamieścił w „Ruchu Literackim" bardzo interesujący artykuł o technice materjalnej twórczości pisarskiej. Zastanawia się nad tem, ile zyskał pisarz na ciągłem udoskonalaniu się materjałów piśmiennych, a zwłaszcza na wynalazku papieru. Jeżeli wyobrazimy sobie dwu pisarzy o jednakiej sile twórczej, z których jeden, jak było przed wiekami, dłubie w tafelce glinianej, a drugi ma w ręku złote pióro do napełniania atramentem i gładki welinowy papier, to łatwo to zrozumiemy. Ba! dzisiaj pisarz może nawet nie umieć pisać, a wszystko utrwali pod dyktandem stenograf i stenotypja, może mówić do mikrofonu, a sekretarz przystawi wałek do telefonu i wszystko odtworzy, pisarz może deklamować dla radio, a ono rozniesie jego genjalne słowa po całym świecie. Aby tylko było co do powiedzenia.

Bylibyśmy wdzięczni prof. Bruchnalskiemu, gdyby następnie zajął się sprawą techniki produkcji pisarskiej pod względem trwałości pisma w druku. Gdyby Arystoteles wydał swoje dzieła na papierze z drzewa, czy wiedzielibyśmy o jego istnieniu? Co będzie z naszemi publikacjami, z naszemi *silva rerum* w postaci dzienników za lat 200? W r. 1824 pisał w tej sprawie Z. Wasilewski w „Gazecie Warszawskiej", domagając się od Sejmu, aby uchwalił specjalną ustawę, chroniącą druk od zagłady przynajmniej w bibljotekach publicznych. Jest rzeczą karygodną, że tego nie zrobiliśmy dotąd. Przynajmniej kilkadziesiąt egzemplarzy każdego wydawnictwa, powinno być odbijanych na użytek księgozbiorów na umyślnie według przepisu wyrabianym papierze. Głos ten pozostał bez echa. Dla cywilizacji jest to straszna refleksja, gdy tworzący pomyśli, że prędko co prawda pisze, ale że też prędko zginie bez śladu. Dziejów Polski odrodzonej, „utrwalonych" na nikczemnym drewnianym papierze za tysiąc lat potomni śladu nie znajdą.

*

Ceniony tłumacz klasyków francuskich pan Boy-Żeleński, który z takim tupetem odsądził od wszelkich walorów polski tekst „Fausta" w przekładzie Zegadłowicza, wydał świeżo dwa tomy drobnych utworów Balzac'a „(Król Cyganerji", „Fałszywa Kochanka"). Przekłady te, niestety, sporządzone są nader niedbale. Polszczyzna ich pozostawia do życzenia bardzo wiele. Na str. 6 „Króla Cyganerji" czytamy: „Wszyscy ci młodzi ludzie... są poniżej fortuny, ale powyżej losu". Na str. 15: „Nie przyjmuję pchnięcia, odrzekł zrownie zimną krwią, cogdyby był w szkole szermierki". Na str. 31: „Kto ci dał śmiałość mieszać się do spraw mego domu". Na str. 28 „Pozwól mi dowieść ci,

jak czystą jest moja miłość“. Na str. 196 „południowiec zdziwiony, że się znalazł w ogromnej sali czekalnej“ (!) Na str. 200 „Czy wyprawiono was w kawki, że wałęsacie się w ten sposób?“ Na str. 221 „w żadnym wypadku on nie może być człowiekiem sytuacji“ i t. d. Trudno poprostu uwierzyć, że w ten sposób pisze po polsku autor świetnych „Słówek“ i „Flirtu z Melpomeną“.

U SŁOWIAN

„Antologja poezji bułgarskiej“ *(Antologija na błgarskata poezija ot G. Milewa, Sofja, 1925)* świeżo opuściła prasę. Uwzględniono w niej tylko osiemnastu poetów (m. in. Wazow, P. Sławejkow, Christow, Botjow), gdyż jak, twierdzi we wstępie wydawca pozostałych należy uważać za epigonów. Antologja ozdobiona jest portretami. Jak widać nie wytrzymuje ona jednak porównania z wydaną przez rząd Stambulijskiego antologją Cankowa. Brak np. w wydaniu Milewa sympatycznej a oryginalnej twórczości Dory Penewej, znanej polonofilki i tłumaczki naszej poezji.

*

Jako drugi tomik piątego rocznika (1925) sofijskiej „Bibljoteki słowiańskiej“, wydawanej przez „Towarzystwo słowiańskie w Bułgarji“ pod redakcją D-ra M. Bobczewa, ukazał się zarys dziejów tego towarzystwa, za dwudzistopięciolecie jego istnienia (1899—1924). Na treść 78-stronicowego tomiku składają się trzy następujące prace: S. S. Bobczew (prezes t-wa): „Towarzystwo Słowiańskie“ przed 25-u laty i obecnie — M. G. Popružnenko: Działalność wydawnictwa „T-wa Słowiańskiego w Bułgarji“—Dr. M. Bobczew: Założyciele i kierownicy „T-wa Słowiańskiego“: Z ciekawej tej książeczki dowiadujemy się, że liczba członków T-wa dosięga 4 tysięcy, a że zaliczały się i zaliczają do nich najwybitniejsze osobistości świata słowiańskiego, jak np. Adolf Czerny, Lubor Niederle, A. Aszkerc, J. Wazow, V. Jagić, K. Kramarz, S. Hurban Vajansky, w. ks. Mikołaj Mikołajewicz, E. Muka, W. Niemirowicz-Danczenko, z Polaków zaś Henryk Sienkiewicz, prof. Oswald Balcer, prof. M. Zdziechowski i in. Prezes prof. S. S. Bobczew w swym szkicu szeroko rozwodzi się nad znaczeniem sofijskiego kongresu wszechsłowiańskiego z r. 1910, zorganizowanego przez zarząd T-wa.

AD REM...

„ŻYDOWSKOŚĆ RZYMU“

Z POWODU przyjazdu do Warszawy wybitnego rzeźbiarza syjonisty p. Glicensteina, pomieścił „Nasz Przegląd“ z d. 17 lutego artykuł, w którym wykazuje ni mniej ni więcej tylko... żydowskość Rzymu.

„Zabytki starożytnego Rzymu, to historyczne pamiątki żydostwa“, — oświadcza na wstępie p. Glicenstein. Aby zaś nie zadziwić swoich współwyznawców wspaniałą niespodzianką, która nawet prawowiernym syjonistom wydać się mogła hunbugiem, sędziwy mistrz uzasadnia swoją „rewindykację“ wzmianką o „Arce Tytusa ozdobionej menorą, złupioną w świątyni jerozolimskiej“. Zabór na rzecz żydostwa rzymskiego Colosseum uzasadnia pomysłowy rewindykator „krwią niewolników żydowskich“ — przelaną na arenie tego cyrku. Trzeci, najmocniejszy argument żydowskości wiecznego miasta według p. Glicensteina brzmi tak: „nasz Mesjasz, wyzwolenie narodu żydowskiego, leży u bram Rzymu...“

Rzym tedy, — wiedzcie barbarzyńcy chrześcijańscy, — jest Mekką judaizmu, jej odpowiednikiem dla Żydów nawet w znaczeniu religijnem. O odzyskanie wtórego Syjonu rozpoczyna się oto ideowa święta wojna, osobliwa anty-krucjata, o skutkach nieobliczalnych dla obu stron walczących.

Ale rozpatrzmy przedewszystkiem pierwszy argument z bulli p. Glicensteina. Na łuku triumfalnym Tytusa umieszczone są istotnie emblematy zabytkowe na pamiątkę podboju i zniszczenia Jerozolimy, stolicy narodu, który wiódł z Rzymem nieszczęśliwą dla siebie wojnę. W łuku Tytusa, jak w innych budowlach klasycznego Rzymu widział dotychczas każdy europejczyk, a nawet każdy kulturalny w nowoczesnem znaczeniu azjata czy afrykanin, wpływ architekturalny Hellady. Do struktury heleńskiej Rzymianie dodali swój wynalazek, — łukowate sklepienie. Łuk Tytusa jest właśnie jednym z najpiękniejszych pomników ducha greckiego w budowli, wzniesionej udoskonaloną techniką rzymską. Umieszczone na Łuku Tytusa trofea żydowskie nie zmieniają w niczem stylu tego monumentu, bo są tylko jego zewnętrzną ozdobą, wprowadzoną przez dumę zwycięzców ku poniżeniu zwyciężonych. Czyżby podobizny barbarzyńców północnych na kolumnie Trajana uprawniały ich także do aneksji zabytków historycznych Rzymu na swoją korzyść? Z tezy p. Glicenstejna i ta potworność wynika.

Propaganda podobnych uroszczeń w ustach uzdolnionego artysty-rzeźbiarza jest czemś kompromitującem jego wiedzę zawodową, przypuszczamy zatem, iż w tym punkcie poglądy jego przekręcił zbyt gorliwy „wywiadowca“ „Naszego Przeglądu,“ nieobeznany widać nawet z zarysem dziejów sztuki.

Inna sprawa z zaborem na rzecz żydostwa Colosseum w imię „przelanej tam krwi żydowskich niewolników“. Tu już zaczyna się dziedzina mistyki: szanujemy żarliwość każdego wyznania, lecz przestrzegamy apostołów syjońskich, iż w imię kultu dla legendarnych relikwij nie można szerzyć fanatyzmu. Krew biednych ofiar wojny żydowskiej i wiara w pogrzebanego u wrót Rzymu rzekomego Mesjasza nie daje nikomu prawa do twierdzenia, iż „My, Żydzi, tam (t. j. w Rzymie) znaczymy więcej, niż Kwirynał“. Od pychy jedna tylko rzecz jest niebezpieczniejsza, mianowicie: — pycha nieprzytomna.

Patetyczne herezje historyczne „Naszego Przeglądu“ są prologiem do realnego interesu. P. Glicenstein żali się, iż rządy polskie nie pozwalają mu zrobić czegoś dla „kraju“. P. Glicenstein, — wzorem wielu swych współwyznawców, — uważa Polskę za swój „kraj“, chociaż „Ojczyznę“ uznaje tylko w Palestynie, w tej czci matkę, w tamtej lubi poczciwą mamkę... O Polsko, winnaś być dumna: jesteś uznana przez syjonistów za... karmicielkę żydowstwa! — Masz powód istnieć na ziemi, nawet gdy Rzym naprawdę stanie się żydowskim!

Ale powróćmy do interesu p. Glicensteiua. To „coś“, co „chciałby zrobić dla „kraju“, to poprost pieniądze, „Przygotowałem, — mówi on, — trzy motywy dla monet polskich, wysłałem szkice do Warszawy, nie otrzmałem jednak żadnej odpowiedzi...“

Pragniemy wytłumaczyć p. Glicensteinowi, iż to milczenie nie jest zapewne afrontem, lecz wynikiem osłupienia. Żydzi robili dotąd pieniądze w Polsce — lecz aby Żydzi mieli je robić dla Polski, — to nowość tak niespodziana, że nawet nasi Wyzwoleńcy oświadczyliby się dziś jeszcze za utrzymaniem tradycji. Milczenie jest złotem, — niechże projektodawca przyjmie i taki kruszec od „kraju“, w którym wyprodukował część swoich utworów. O inne złoto trudno teraz... któż, jeśli nie Żyd, wiedzieć powinien, że mamy w Polsce pewne kłopoty z walutą? P. Glicenstein, który w Rzymie „czuje się, jak u siebie w domu“, w całych Włoszech zapewne jest jak na własnych śmieciach. Wygłosi tam niechybnie po powrocie wywiad na temat „Żydowskość Warszawy“, skoro nas poczęstował „żydowskością Rzymu“.

* * *

Gorączkowy fanatyzm syjoński rozrasta się nietylko u nas. Warszawskie „Wiadomości Literackie“ powtórzyły skwapliwie za „*Revue Juive*“ nowinę, iż Montaigne,—wyraźnie Montaigne, chluba myśli francuskiej, — jest z pochodzenia Żydem! Dla towarzystwa w atawistycznym judaiźmie dodano mu pokaźną ilość czołowych nazwisk literatury europejskiej.

Szał szerzy się... W naszych oczach powstaje panjudaizm, kubek w kubek podobny do bojowego pan-germanizmu, któremu kres chwilowy położyła dopiero przegrana przez Niemców wojna. Metody i uroszczenia są jednakowe. Pangermaniści wołali wczoraj: Michał-Anioł Buonarotti nasz,

bo to germanin Michel Bonen-Roth, — Machiavelli nasz, bo ma „germańską strukturę umysłu“. Pan-judaiści głoszą dzisiaj: Montaigne to nasz, to Żyd!... a nawet Rzym to opoka żydostwa!... Żydowski Chamberlainizm, niechże pamięta o wynikach Chamberlainizmu pangermańskiego. *Obscurum per obscurius.*

TADEUSZ ROZWORA

TEATR

W CICHYM DWORZE

WIERNY zasadzie „*castigare mores*“ Teatr Narodowy wystawił szlachetną w intencjach, kulturalnie skomponowaną i gładkim bardzo napisaną wierszem, trzyaktową sztukę znanego poety, dramaturga, dyplomaty i ziemianina Ludwika Hieronima Morstina, p. t. „W cichym dworze“. Utwór ten posiada dobrą dramatyczną konstrukcję. Formalnie zatem jest poematem dramatycznym. Pod względem treści przypomina natomiast coś w rodzaju nowoczesnego misterjalnego moralitetu. Słucha się go w podobnym nastroju ducha, jakby się słuchało dobrego wielkopostnego kazania na temat szóstego przykazania, lub też jakiejś świeckiej egzorty rekolekcyjnej. Postąpiono bardzo właściwie, wyznaczając premjerę na piątek popopielcowy.

Bohaterka sztuki, rozpierana przez nadmiar temperamentu urodziwa szlachcianka, nudząc się u boku niedokrwistego męża (przeżytego trochę dyletanta - intelektualisty), zdradza go z przystojnym przedstawicielem naszej słynnej z sukcesów miłosnych dyplomacji. Wówczas w cichym dworze—sprofanowanym przybytku cnotliwych tradycyj—zjawia się duch konkretnie zmaterjalizowany poległego na polu chwały żołnierza. Pani domu niegdyś w nim się podobno kochała, zanim ją, wbrew sercu, wydano zamąż. W imię tej miłości upiór bohatera zabrania jej zdradzać małżonka i nakazuje powrót do wzniosłej roli żony-kapłanki domowego ogniska. W duszy wiarołomnej kobiety następuje przewrót. Kaje się przed księdzem, wyznaje swój błąd mężowi i otrzymuje rozgrzeszenie.

Oryginalność pomysłu polega na tem, że duch podczas swej wizyty w cichym dworze zachowuje się jak człowiek z krwi i ciała. Nie tylko rozmawia z mieszkańcami, ale nawet siada z nimi do obiadu. Sztuka posiada kilka scen doskonałych i parę ról, dających pole do popisu pp. Rolandowi, Różyckiemu, Pancewiczowej, zwłaszcza zaś Chmielińskiemu oraz Owerle.

Publiczność premjerowa wysłuchała utworu z dużem zainteresowaniem i w poważnem skupieniu. Dowodzi to, że Morstin potrafił trafić do sumień, przesyconych karnawałem.

DAMA KAMELJOWA

TEATR Polski (w którym, nawiasem mówiąc, od bardzo, bardzo dawna nie grano nic polskiego) wystawił dumasowską „Damę kameljową“, sztukę drogą niegdyś sercu paryżan i do dnia dzisiejszego figurującą w żelaznym repertuarze Komedji francuskiej.

Wystawiono ją w przekładzie Boy'a który tym razem nie stanął na wysokości reputacji. Ale zarówno o gallicyzmach przekładu jakoteż o niewłaściwościach obsady i usterkach reżyserji z łatwością pozwala widzom zapomnieć nieporównana gra pani Przybyłko-Potockiej, najznakomitszej niewątpliwie z funkcjonujących obecnie w Warszawie artystek dramatycznych.

Poza wirtuozerją znakomitej dramatystki, podziwiamy w tem widowisku dekoracje Karola Frycza. Dał on mistrzowską karykaturę stylu meblarsko-tapicerskiego w epoce Dumasa. Aby stworzyć takie arcydzieło złego smaku trzeba zaiste posiadać smak wyborny.

SIGMA

NA MARGINESIE

„Stała Delegacja Zrzeszeń i Związków Profesorów Polskich Szkół Akademickich“ opracowała „Memorjał w sprawie potrzeb nauki“ w związku z przeprowadzoną redukcją budżetu ministra oświaty. Memorjał niezwykle umiarkowany, przejęty zrozumieniem trudnej sytuacji finansowej Państwa, rzeczowy. Tem wymowniejsze są zamieszczone w nim fakty i argumenty.

Okazuje się, iż profesorowie szkół wyższych, zmuszeni przez obecną redukcję płac do szukania zajęć dodatkowych, nie mogą poświęcać dostatecznej ilości czasu na samodzielną pracę naukową, że brak koniecznych dotacyj na laboratorja, bibljoteki i t. p. pracę tę utrudnia, lub wprost uniemożliwia. Dochodzi do tego, że na Politechnice lwowskiej musiano przerwać wieczorowe wykłady i ćwiczenia z powodu braku funduszów na... oświetlenie.

Sprawa nabiera ceeh tragi-komicznych, gdy się pomyśli, iż jesteśmy wyjątkowym w świecie krajem, gdzie w myśl Konstytucji (art. 119) obywatele korzystają z nauki w szkołach wyższych... **bezpłatnie**. Oto w jaki ciemny zaułek zaprowadziła nas bezmyślna demagogja! Mamy oświatę za darmo, chwalimy się tem na wszystkich kongresach międzynarodowych, budząc podziw u Włochów, Francuzów, Anglików, brak nam tylko... pieniędzy na oświetlenie sal wykładowych!

*

Z okazji odsłonięcia w Cytadeli tablicy pamiątkowej ku czci straconych w r. 1886 czterech członków partji rewolucyjnej „Proletarjat“, jeden z pozostałych przy życiu Proletarjatczyków, p. Czesław Hulanicki, temi słowy—w rozmowie z przedstawicielem żydowskiego „Naszego Przeglądu“ — charakteryzował ówczesne oblicze ideowe partji:

— „Dla nas właściwie nie istniał ani żyd, ani polak, ani rosjanin, ani niemiec. Wszyscy byliśmy braćmi-towarzyszami, walczącymi o wyzwolenie proletarjatu z ucisku politycznego i ekonomicznego...“

Jasno, szczerze, wyraźnie. Czemu tedy główny mówca obchodu, p. poseł Czapiński, fałszywą usiłował szerzyć legendę, oświadczając, iż „Proletarjat“ wprowadził lud polski „na tę drogę, dzięki której mamy dziś w Polsce niepodległość“?...

*

W walce z autorytetem w imię równości uczyniono w Moskwie nowy krok naprzód, organizując — jak donosi żydowski „Nasz Przegląd“ — „orkiestrę symfoniczną bez dyrygenta.“ „Idea tego rodzaju orkiestry... — czytamy tamże — pochodzi od **znanego** (oczywiście, redakcji „Naszego Przeglądu“) prof. Zeitlina“.

Najciekawsza atoli jest tajemnica powodzenia całego przedsięwzięcia. „Nasz Przegląd“ pisze: „Orkiestra składa się z samych najświetniejszych (?) muzyków moskiewskich, a **komenda jest podzielona pomiędzy kilku koncertantów i sygnały jej są dla publiczności niewidzialne**“. A więc komenda **jest** tylko sygnały jej „**są dla publiczności niewidzialne**“! Czyż ta bolszewicka reforma orkiestry nie ma w sobie czegoś symbolicznego, czyż nie jest ona syntetycznym jakby obrazem **wszystkich** reform, jakie w imię równości podejmuje dziś w świecie całym... rasa Zeitlinów?...

*

Eksport tendencyjnych opinij o kulturze i twórczości polskiej wchodzi w nową udoskonaloną fazę, mianowicie uzupełnia się importem zwrotnym z zagranicy do Polski towaru nowinkarskiego, fałszowanego na miejscu. Ostatnie „Wiadomości Literackie“ w rubryce „Polska zagranicą“ reklamują pewnego anonima „Carola“, dlatego, że w noworocznym numerze *„Das Theater“* zmieszał z błotkiem swej propagandy wartość naszej współczesnej literatury dramatycznej i, naturalnie, działalność Teatru Narodowego. Teatr ten, według anonimowego pupila „skamandrytów“, wystawia przeważnie sztuki „dlatego tylko zaliczane do literatury polskiej, iż są pisane po polsku“. Pomysłowy „Carol“ puszcza się tu na ryzykowną insynuację, jakoby T. Narodowy wystawiał sztuki obce narodowi z ducha, (zatem żydowskie) zamaskowane mową polską. „Carol“ ma główkę nie od parady, w swej propagandzie „na wynos“. Nie wiadomo, czy ów „Kerl“ umie pisać polsku, lecz wiadomo, że nikt inny nie prześcignął go dotychczas w nieustającym konkursie bezczelności na łamach „Wiadomości Literackich“, pełnych właśnie spolszczonej cudzoziemszczyzny. Kto wie, czy z takim współzawodnikiem wytrzyma konkurencję sam p. Słonimski, doświadczony spacerowicz propagandowego darmozjadztwa, nazwany przez „Carola“ — „jednym z najlepszych krytyków teatralnych“. A może czas pokaże, iż p. Słonimski i „Carol“ to nietylko bliźniacze dusze, lecz jedno i to samo indywiduum? Tak, czy nie, — czas już demaskuje autoreklamę rozzuchwalonych samochwałów, urządzających eksport i import fałszywych wiadomości o sobie i szkodzących kulturze ogólnej, a nawet własnej, w imię wyuzdanego **grycendleryzmu**.

Uprawa tytoniu w Polsce

Sprawa mzmożenia uprawy tytoniu w Polsce jest w czasach ostatnich coraz poważniej dyskutowana, posiada bowiem pierwszorzędne znaczenie zarówno dla interesów Państwa, jak i podniesienia dobrobytu rolnictwa. Polski Monopol Tytoniowy sprowadza rocznie ponad 20 miljonów kg. liści tytoniowych z zagranicy, z czego jedną trzecią część stanowią gatunki, które doskonale mogłyby być hodowane w kraju. Tymczasem dotychczas uprawa tytoniu w Polsce nie dosięgła jeszcze 1 miljona kg. rocznie.

Rzecz to tembardziej dziwna, że uprawa tytoniu daje w stosunku do żyta dochód 3 — 6 razy wyższy, zależnie od urodzaju i cen zboża oraz gatunku plantowanego tytoniu. Zbiór z 1 morgi polskiej wynosi około 500 — 800 kg. ceny zaś płacone przez Monopol Tytoniowy za 1 kg. liści zdrowych i dojrzałych wynoszą średnio: około 75 groszy za machorkę, około 90 groszy za bakun i około 1 zł. 25 gr. za tytoń czerwono kwitnący. To też zabranie się do uprawy tytoniu przedstawia znaczne powiększenie dochodu z roli.

W 28 powiatach tytoń jest już stale uprawiany (t. zw. rejony uprawy), pozatem jednak mogłoby go z powodzeniem uprawiać także wiele innych okolic Polski, a tylko z braku należytego uświadomienia ludność dotąd do tej uprawy nie przystępuje. Dlatego w interesie każdego rolnika leży zaznajomienie się z ogłoszonemi przez Monopol Tytoniowy warunkami, pod jakiemi można uzyskać pozwolenie na uprawę. Prośbę o pozwolenie należy wnosić bezpośrednio do Inspektoratu Uprawy Tytoniu w Warszawie, ul. Kaliska Nr. 1, podając dokładny wymiar gruntu zgłoszonego pod uprawę, (najmniej 500 metrów kwadr. w jednej całości). Monopol Tytoniowy udziela plantatorom rozmaitych ulg, a więc: zwraca koszta zwózki, przy dostarczeniu zbioru do urzędów monopolowych, płaci premje w razie osiągnięcia dobrych wyników, wreszcie udziela zaliczek na poczet ceny kupna za liście. Zaliczkę może dostać każdy, kto się zobowiąże do plantowania tytoniu conajmniej na obszarze 1000 metrów kwadratowych (około 240 sążni).

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2 gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Warszawa. Chmielna 27. Telefon 27-15.